

PISMO DLA RODZIN.

№ 26. Warszawa, dnia 19 Czerwca (1 Lipca) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . . . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

TREŚĆ: Przyczyny złego.— Omanka powieść przez Jana Zacharjasiewicza (ciąg dalszy). —Gawędy higijeniczne.— Przegląd teatralny.— Korespondencyja Opiekuna Domowego.—Za wojennym śladem powieść ze stepów Amerykańskich przez kapitana Meyne Reid'a (ciąg dalszy).— Biblijoteczka domowa.— Gospodarstwo i przemysł domowy.—Rozmaitości.—Od Redakcyi.—Ogłoszenia.—Odpowiedzi Redakcyi.—W odcinku: Ślady życia XXVI.

PRZYCZYNY ZŁEGO.

Każda strona życia smutny przedstawia widok, gdy na niej głębsze zatrzymamy spojrzenie. Ciemne barwy stały się już właściwym kolorytem przy malowaniu społecznych stosunków naszych tak, że jaśniejszy jakiś objaw zamiast nadziei, budzi niedowierzanie i przewidywanie rychłego zgaśnięcia. Ludzie silniejszego ducha idą naprzód z wiarą wśród ciężkiej atmosfery zniechęceń i zawodów, a inni, *dobrze myślący*, wzruszając ramionami powtarzają:

— U nas? cóż u nas być może, bieda i wszędzie bieda!

Temi słowy, lub pochmurnem milczeniem kończy się każda poważniejsza rozmowa. Doszedłszy do tego wniosku staramy się co, prędzej zapomnieć o nim. chyba że nas samych kto posądzi o współudział w przyczynach złego. Jeśli domyślamy się podobnej tendencyi cóż naturalniejszego jak uniewinnić się natychmiast?...

Możnaby u nas ludzi podzielić na oskarżających i uniewinniających, się gdyby nie ta okoliczność, że zbyt często zachodzi tu zamiana pozycyj. Oskarżyciele stają się uniewinniającymi i odwrotnie, w miarę jak zmienia się kierunek zarzutów względem osób, lub związanych z niemi sfer towarzyskich... Prawa i lewa strona zarówno wychodzi zwycięzko z rozpraw o biedzie. Oskarżający ukazują nagi fakt że jest źle, jeszcze gorzej i najgorzej; usprawiedliwiający dowodzą argumentami jasnemi jak słońce, że ani oni, ani ich parafija w niczem, ale to zupełnie w niczem, nieprzyłożyli się do tego.

Gdy każda strona działalności społecznej i każda warstwa towarzyska przy stosownym obrocie kwestyi podobny wydaje rezultat, spostrzegamy w końcu ku bezmiernemu przygnębieniu ducha, że nas ugniata ciężka masa niedostatków, nieprawidłowości, biedy jednem słowem, a to wszystko ot tak, bez żadnego powodu z dopuszczenia Bożego jedynie.

Na to zapewne niezgodzi się nikt z ludzi którzy już pojęli, że wszystko co jest, musi być skutkiem, pewnej kombinacyi przyczyn. Pewność że istnieje przyczyna złego lepsza już jest zapewne od błędnego koła narzekań absolutnych, tu jednak smutniejsza jeszcze myśl spotyka nas: zakorzenione przekonanie że te przyczyny niezależne są od nas, że z zewnątrz pochodzą, że nie ma więc co myśleć o nich i dręczyć się rozpamiętywaniem tego co nie jest w naszej mocy.

Otóż doszliśmy do jednej z głównych naszych przyczyn złego. Powijakami ducha, więzami sił naszych, jest nieszczęsne zaszczepione już tradycyją przekonanie, żeśmy ofiarą nieszczęść zewnętrznych, jest utrata wiary w swe siły prawdziwe zaciemniony pogląd na właściwe cele dążeń...

Czem jest zdemoralizowanie wojska w niefortunnych utarczkach, czem w życiu pojedyńczego człowieka psychiczne zjawisko zniechęcenia, tem dla społeczeństwa takie przekonanie. Lecz gdy jednostka przeszedłszy ciężkie chwile życia, nabiera znów sił nowych do walki o lepsze, to społeczeństwo odżywiające się ciągle nowym żywiołem, odmładzające się wiecznie w idei przewodniej, długo nie może zostawać w duchowej stagnacyi. Jeżeli mieliśmy ciężkie chwile to te minęły już bezpowrotnie, i dziś niedołęztwem jest tylko trzymać się ślepo tradycyjnych utyskiwań w biernym tymczasowym bycie i wmawiać w siebie żeśmy niewinni temu iż nam bieda dokucza.

Zamiast szukać długich wywodów postawmy w swem położeniu kogo innego, dajmy na to Niemca, lub żyda, i spytajmy się czy on czułby się ofiarą zewnętrznych przyczyn, czyby nie poradził sobie skutecznie? Ale nas gotowo obrazić porównanie. Weźmy więc zamiast nich, w prost ludzi silnych, wytrwałych, pojmujących swe położenie i umiejętnych w życiowej walce, jakich liczymy nie mało wśród naszego społeczeństwa a z łatwością przyznamy że tacy pomyślnie rozwijać się potrafią tam, gdzie my ustępujemy narzekając na losy. Któż więc winien nam? Nie w nas że samych leżą przyczyny biedy? Jeżeli one z nas pochodzą, kogóż to trzeba wzywać do usunięcia ich, od kogo pomocy w złem szukać?

Rzeczą niezbędną do usunięcia zarodów złego pleniących się w nas samych, bezwątpienia poznanie ich dokładne. Stosunkowo nie wielu znajdzie się ludzi, którzy poznawszy swe zasadnicze wady i choroby moralne, spokojnie mogliby chodzić z nimi po świecie, za to na nieszczęście nie jest łatwą rzeczą obudzić taką świadomość w społeczeństwie.

W tę trudną do rozbudzenia strunę prasa uderza zawsze—i nigdy dość głośnego brzmie-

nia dobyć z niej nie może. My z tej otóż wychodząc zasady postanowiliśmy w szeregu stosownych artykułów, szczegółowo rozbierać *przyczyny złego*, tkwiące w łonie różnych klas społecznych, zarówno dotkniętych trudnościami bytu, jak przyczyniających się do trwania złego.

Wiele mamy wad zasadniczych wspólnych nam wszystkim, ale formy i stosunki ich są odmienne tak, iż dzięki tym różnicom doskonale umiemy się łudzić; mamy nieprzebrany arsenał sofistycznej broni przeciw czynionym ryczałtowo zarzutom i do mistrzostwa posuniętą umiejętność...oszukiwania samych siebie. Ileż to mamy odrębnych miar do ocenienia: co jest istotną potrzebą, a co zbytkiem, co jest niezbędne, a co dodatkowe? Ileż to razy toż samo co w innych wydaje nam się oburzającą zdrożnością, w nas samych jest miłą słabostką zaledwie, jeśli nie cechą wyższości? Prawdy ogólne i zarysy wad naszych wspólnych, zadawnionych i nieustępujących nawet pod naciskiem konieczności słaby zaledwie wywierać mogą skutek, gdy tymczasem łagodna, sypka pochyłość, ciągnie nas mimo pozornych usiłowań postępu, do powolnego upadku. Światła jak najwięcej rzucajmy na źródła skąd złe wypływa i szerzy się ciągle! Przeglądajmy się choćby w setnych zwierciadłach, niech nas nasza własna postać przestraszy, abyśmy wreszcie pomyśleli o pracy nad sobą, dla siebie!

Zamiast wyprowadzać ogólną formułę dla słabych stron naszych, rzucamy tu sposobem wstępu kilka zapytań pozornie bez związku, a rzeczywiście związanych smutną myślą wspólną:

— Jak długo jeszcze, gdy mowa o zgodzie i solidarności stosować się będzie przysłowie: „gdzie dwóch Polaków tam jeden za wiele?“

— Dokąd to, z założonemi rękoma w *rutynicznej drzemce* chwalić będziemy skutki wytrwałej łącznej pracy i przedsiebierczości?

— Jak się nazywa ów kraj rolniczy w którym rolnictwo ledwie wegetuje, nieledwie większość znaczniejszych ziemskich posiadaczy wzdycha do pozbycia się roli, kilka dziesiątków młodzieży zaledwie kształci się w agronomii, a dwa pisma rolnicze schną z braku prenumeratorów?

— Kiedy to pierwszą rzeczą przestanie być śniadanko, ogon u sukni, przyjęcie bony francuzki, a ostatnią obowiązek społeczny, zapewnienie bytu, lub myśl: co też to jest wychować dziecko? Kiedy uregulowaną zostanie granica między zbytkiem a potrzebą, złudzeniem a prawdą, chwilowem zadowoleniem a prawdziwym pożytkiem?...

T. Z.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Floryjan odwrócił oczy od tego obrazu... a tam daleko w dolinie świeci się srebrna wstęga potoku... a przy tej wstędze jak mrówki tłoczy się bydełko nawoływane pieśnią i fujarką górala....

Po niejakim czasie otworzyły się drzwi, a stary Szymon wszedł z herbatą i przekąską. Nie tyle herbata co widok starego lokaja ucieszył Floryjana. Postąpił ku niemu, powitał go uśmiechem jak najlepszym i już chciał z nim rozpocząć dłuższą rozmowę, gdy stary Szymon nagle się wykręcił i za drzwiami zniknął jak kamfora.

Floryjan pozostał znowu sam jeden. Posiliwszy się herbatą zamyślał właśnie spuścić się z więzienia swego na dół i choć o szarym zmroku obejrzeć się po rezydencyi swego zagadkowego przyjaciela — gdy nagle ujrzał chłopca spuszczającego brytany z łańcucha. Straszne bestyje w szalonych podskokach cieszyły się z swojej swobody i od czasu do czasu wydobywały z kudłatych piersi głosy przerażające....

Floryjan musiał pożegnać się ze swoją myślą i zostać przez całą noc w więzieniu aż do rana.

Mógł teraz dowoli rozmyślać nad marzeniem i rzeczywistością. Gdy wczoraj od ostrokołu do domu wrócił, zdawało mu się, że nic nie ma łatwiejszego jak pojechać do pana Szambora i z nim w kilku słowach całą sprawę ukończyć.

Jakże pięknie przedstawiała mu się ta podróż! Jakże rozkoszny miał być jego pobyt tutaj! Jak serdecznie miano go przyjąć, jak okazale ugościć!...

Dzisiaj cóż z tego wszystkiego zostało? Gospodarz nawet nie mógł go sobie przypomnieć a przypomniawszy dziwił się, że nie ma z sobą instrumentu — i potem wszystkiem pozwolił mu przenocować i posłał jeść, nie pragnąc nawet z nim rozmawiać!...

Wprawdzie przypomniał sobie Floryjan, że babunia pana Szambora nazwała dziwakiem, ale każde dziwactwo ma pewną granicę, po za którą pozostaje być dziwactwem!...

Floryjan myślał i myślał — i coraz smutniej robiło mu się w duszy. Zaczął się na seryjo obawiać o Salomeę... a on ją teraz tak kochał! Nawet kilka razy wyjrzał oknem i zdawało mu się, że na ciemno-szafirowem niebie widzi ją w płaszczu królewskim utkanym z samych gwiazd błyszczących — siedzącą na tronie z czarnych gór i lasów omglonych!....

Gorąca wyobraźnia, którą dotąd uważał za jedyny kapitał życia, malowała mu coraz ponętniej ten obraz wspaniały — pociągnęła za sobą i serce, które zaczęło bić goręcej — a Floryjanowi zdawało się że używa najwspanialszych rozkoszy miłości — że kocha!

Tak... w tej chwili kochał może rzeczywiście — chociaż to uczucie mieściło się tylko w młodzieńczej jego wyobraźni...

A gdy już późna noc nadeszła, gdy cisza grobowa otoczyła cały pałac do koła, Floryjan słodko i rozkosznie zamknął oczy, aby we śnie mieć to wszystko, czego wzbraniała mu zimna rzeczywistość.

ŚLADY ŻYCIA.

XXVI.

Tyle życia, ile... w czynie.

Piękna to rzecz być *felijetonistą*, a do tego *uczonym* felijetonistą. Co to za wspaniałe rzeczy można produkować. Oto pisząc np. o Saskim ogrodzie, przypominają ci się *poziomki*, dalej więc z nieporównaną erudycyją wywodzisz rodowód ich, wykazujesz jasno jak na dłoni błogie skutki na organizm; słowem nagle, przeflancowawszy myśl swoję z ulotnej sfery felijetonu na żyzny grunt wiedzy, prawisz ciemnym śmiertelnikom wiele ciekawych i pouczających rzeczy. Ponieważ pismo święte, filozofowie greccy i rzymscy i inni wielcy mężowie starożytności i wieków średnich nic nie wspominają o poziomkach, pomijasz więc mrok przedchrześcijańskich dziejów i przechodzisz wprost na grunt cywilizacyi nowoczesnej, a nie hołdując metodzie historycznej, zaczynasz od opisowo — dogmatycznego wykładu.

W nagrodę tak niepospolitego trudu otrzymasz palmę uznania od Redakcyi „*Kłosów*,“ i praca twa wydrukowaną zostaje na czele „Pokłosia.“

Felijetonista wasz nie czując powołania do tak ściśle naukowej produkcyi, złożywszy należne uznanie bogini wiedzy, odwraca się do niej plecami, i kieruje wzrok swój w lżejszą sferę życia naszego.

Zaczniemy od pogody. Ubłagane łzami i potem śmiertelników niebiosa zesłały na uznojone czoła nasze, obfite strumienie deszczu. Sądziliśmy, że po tak rozkosznym *prysznicu*, zażyjemy przez pewien czas błogiego chłodu. Ale niestety!... snać w księdze przeznaczenia było już zapisanem, aby nędzne powłoki nasze uległy w tym roku okrutnej operacyi smażenia. Jak będziemy po niej wyglądali, i jakie nowe czynniki powstaną w organicznych tkankach naszych po upływie tej chemicznej operacyi — niebiosa tylko raczą wiedzieć. Tymczasem faktem jest, że się smażymy, jak za czasów wiekopomnej inkwizycyi. Tylko że tam, kładli po prostu na stos, i operacyja kończyła się w krótkim czasie, a tu trwa powoli... dnie, tygodnie i miesiące całe. Skutki jej już są widocznymi, i uwydatniają się rozmaicie w różnych sferach ludności. Dziennikarze, a w szczególności felijetoniści tracą werwę i humor, czytelnicy znowu tracą pamięć i zapominają nadsyłać prenumeraty, co jeszcze boleśniej wpływa na nastrój czułych serc literackich. Dalej, urocze warszawianki pragną czemprędzej zaznać hymenu, i dla tego odwiedzają tłumnie miejsce przechadzek i zabawy, ale męzka młodzież, zniechęcona do życia, obojętnie spogląda na wszystko.

Są jednakże indywidua, mniej upadłe na duchu. Oto jeden z wieszczów naszych, snać odrodzony nagle z wiecznie płaczliwego bajronizmu po kilkudziesięciu przypadłościach pęknięcia serca, zgadza się wreszcie z losem

I zapewne sny jego były przyjemne — bo nazajutrz już dobrze świeciło słońce przez małe okienko do izdebki, gdy się przebudził i starego Szymona przed sobą obaczył.

Szymon zapytał go, czy chce kawy czy herbaty na śniadanie. Uprzejmość ta polepszyła mu humor. Chcąc tę uprzejmość czemś wynagrodzić i do dalszych swoich planów łaskę starego sługi zaskarbić, otworzył torbę podróżną, a wyjąwszy z niej lśniącą brzytew angielską z całym przyrządem do golenia, darował zdumionemu Szymonowi.

Oczy staruszka zabłysły radością. Schował podarek szybko do kieszeni, przyniósł herbatę z wyszukanemi przekąskami i nie uciekał już jak wczoraj od gościa, ale został przy progu, czekając możliwych rozkazów.

Floryjan rozpoczął z nim ostrożnie rozmowę o stosunkach pałacowych i dowiedział się, czy raczej dorozumiał wielu ciekawych szczegółów.

Pierwszą żoną Szambora była bogata węgierka z domu arystokratycznego. Sam Szambor pochodził z Węgier, chociaż o tem różnie mówiono. Jedni utrzymywali, że urodził się z cyganki, co zdawała się potwierdzać śniadość jego cery. Inni inaczej to tłumaczyli, z czego jednak wypływało, że zawsze był pochodzenia cygańskiego. Byli nawet i tacy, którzy widzieli w nim byłego przywódcę orkiestry cygańskiej, do czego talent jego muzykalny dostarczał pewnych dowodów.

Mimo to wszystko był to człowiek bogaty, a gdy mu pierwsza żona umarła, wysłał syna za granicę, aby się tam kształcił na górnika. Zapewne majątek jego w górach, wymagał dla potomka tej specyjalnej nauki.

Samotność, w którą teraz popadł, była mu nieznośną. Chciał się różnym sposobem rozerwać i w tym celu często wyjeżdżał za granicę. Tam pewnego razu poznał piękną polkę, dla której mimo późnego wieku swego rozgorzał nieugaszoną miłością. Zbliżenie się było bardzo łatwe. Panna nie miała posagu, a pragnęła dostatków — Szambor był bogaty. Ułożono się więc, że Szambor nabędzie majątek po drugiej stronie Karpat, a piękna młoda małżonka, zamieszka na ojczystej swojej ziemi.

Cały ten rozkoszny plan przeszedł w ponętną rzeczywistość i dwoje szczęśliwych ludzi żyło czas niejaki w zgodzie i miłości, w tym samym pałacu, który teraz tak smutny wydawał się Floryjanowi.

Po niejakim czasie z pomiędzy okwitłych róż wychyliły się ostre ciernie. Piękna pani Szamborowa chciała się od czasu do czasu rozerwać. Dla towarzyskich rozrywek niedostarczała okolica żadnego pola. Pani niewidziała w biednych górskich dworkach równego sobie towarzystwa. Potrzeba było szukać go na szerszym świecie. Wyjechało się więc raz i drugi za granicę i do stolicy na karnawał. Chociaż karnawał jakoś dziwnie ludzi i serca odmładza — chociaż tańce wirowe tyle mają tajemniczej, pociągającej ku sobie siły, mimo to JPan Szambor nie odmłodniał w oczach żony, a tajemnicza siła tańców wirowych, objawiła się nawet w odwrotnym kierunku....

Szambor miał z tego powodu wiele turbacyi. Najprzód musiał znosić wstyd nie mały, że ktoś zepchnął go z przynależnego jemu stanowiska, a powtóre dołączyło się do tego piekielne uczucie zazdrości, które go aż do szału doprowadzało. Szambor bowiem, mimo srebrnych tu i owdzie włosów miał serce dziwnie gorące i gorącej pragnął miłości od tej, którą otoczył dostatkami życia.

Zdaje się, że żona jego innego była pod tym względem zdania, bo z tego powodu powstawały między małżeństwem różne niemiłe sceny, a jedna z nich zakończyła się nawet śmiercią pewnego sekretarza ambasady tureckiej, który zwyczaj mahometański chciał gwałtem do cywilizacyi europejskiej wprowadzić, a któremu za to Szambor lewy bok na wylot przestrzelił.

Nie ozdrowiło to bynajmniej zdrożnej małżonki, chociaż takie ozdrowienie często można widzieć w komedyi francuzkiej. Pani Szamborowa przeciwnie wzięła tę katastrofę za początek nowych dróg swoich i poszła niemi mimo udręczeń męża, który ją kochał szalenie i za nią przepadał!

Po wielu burzach, krwawych przygodach i bezprzykładnych umartwieniach, doszedł wreszcie Szambor do tego, że od rydwanu małżeńskiego odczepił swój łańcuch i puścił żonę w świat samopas, zaopatrzywszy ją w utrzymanie przyzwoite.

Stary Szymon tłumacząc to dziwne zjawisko, nazwał tę niespokojną kobietę — Omanką!

— Dla czego nazywasz ją Omanką? zapytał Floryjan.

— Bo to widzi pan — odpowiedział Szymon — ona lubiła się stroić i kwiaty wtykać do włosów na to, aby drugim głowy zawracać. A przecież Omance o nic innego nie chodzi, aby tylko drugich czembądź „omanić!“

— I od tego czasu nie była tutaj więcej pani wasza?

Stary Szymon obejrzał się z trwogą.

— Albo ja wiem — proszę pana — alboż to Omance trudno być tu i tam?

— Jakto — w dwóch miejscach na raz?

— A tak!... przecież każdy poczciwy człowiek ma duszę jedynaczkę — a źli ludzie mają po kilka! Czyż nie może jedna pójść do kościoła i tam się modlić, a druga tymczasem być u czarta i z nim ucztować?...

Floryjan rozśmiał się z politowaniem.

— Więc sądzisz przyjacielu — rzekł po chwili — że wasza pani może być równocześnie w Paryżu i w Połominie?...

— Ja tego niepowiedziałem — co mi tam do tego! Czy kto jest czy nie ma — czy wejdzie bramą czy oknem zakratowanem... ja tam tego nie widzę!

Stary Szymon spostrzegł teraz, że za wiele się wygadał, może nawet więcej niżeli warta była brzytew angielska. Szybko więc obrócił się ku drzwiom i znikł w ciemnej sieni.

Floryjan pozostał sam i zaczął rozmyśliwać nad tem co mu stary sługa powiedział. Odrzucając na bok przesądy ludowe o Omanach i Omankach wyrozumiał z tego opowiadania,

---

swoim. Wyobraża on sobie że mieszka na poddaszu, chociaż złośliwi powiadają, że nawet nie widział go nigdy; dalej powiada, że bywa czasem głodny, o czem również wątpią niektórzy, ale przytem utrzymuje, że jest wesoły jak ptaszę, że pali papierosa i rad z siebie. A skoro słońce zachodzi, biedaczysko mówi „Ojcze nasz,“ i leci „na skrzydłach aniołów nad.... błotem.“ Nie pojmując dobrze tej głębokiej przenośni, cieszymy się w każdym razie z odrodzenia tajemniczego wieszcza. Niechaj ci służą, łaskawy poeto, i ciemne poddasze i skrzydła aniołów i woń błota, nad którem ulatać pragniesz, ale niechaj ci już nigdy nie pęka serce, bo to nas zanadto rozczula.

Wracając do okrutnej temperatury, zaznaczymy, że najlepszym środkiem na poskromienie jej skutków, są chłodne objęcia Wisły. Lecz często są one zanadto gościnnemi dla dziatwy grodu naszego, bo, skoro raz pochwycą, nie chcą już wypuścić, wiecznym chłodem uśmierzając żar, który pali ciało. Wartoby zaoponować poczciwej staruszce, przedsięwziąć środki ostrożności, wyznaczyć bezpieczne miejsce do kąpieli, nie pozwalać aby wydalali się z ich obrębu nawet zręczni pływacy. Tymczasem dziwnie jakoś obojętnie zapatrujemy się na figielki modrolicej rzeki. Utonie ktoś! — „wieczny odpoczynek!“ — pogderamy na nieostrożność i za chwilę zapominamy o wszystkiem, nie bacząc nawet na dziatwę swoję, która często bez żadnej opieki idzie do kąpieli.

Ponieważ zadaniem tej wstępnej pogadanki jest zaznaczenie ulotnych dziejów grodu naszego, a jednostajne ich pasmo w ubiegłym tygodniu nie daje pochwycić znaczniejszej liczby faktów, inne zresztą pomniejsze są tak ulotne, że aż ulotniły się z pamięci naszej, kończymy więc na dziś, przystępując do dziedziny poważniejszych kwestyj.

O wiankach nie będziemy tu pisać, bo mamy przyrzeczony artykuł obszerniejszy z tendencyją naukową, tłómaczący przybliżone ich znaczenie. Tutaj tylko wspomnimy, że tak one, jak wiele innych obrzędów, bądź się wynaturzają bądź giną niepowrotnie, najprzód w sferach wyższych, potem zaś i niższych, bo forma bez ducha ją ożywiającego, zjawisko bez treści, która onego byt warunkuje—istnieć nie może. Choć błędnej ale zawsze jakiejbądź przyczyny i celu trzeba, by dopełniono jakiejś ceremonii. A któż dziś przy stosie sobótkowym, pomyśli o Feniksie, owym symbolu odrodzenia się z popiołów, kto przy rzuceniu wianków wie o ich znaczeniu moralnem, kto do tego przywiązuje wiarę? Kto w wiliją św. Jana szuka kwiatu paproci, dla znalezienia bogactw serca i umysłu, kwiatu odrodzenia się umysłowego i moralnego?

W „Kronice Rodzinnej“ (N. 12 z 15 czerwca) znajdujemy życiorysy krótkie dwu niedawno zmarłych dostojników kościelnych biskupa telszewskiego czyli żmudzkiego ks. Macieja Kazimierza Wołonczewskiego i biskupa tarnowskiego (w Galicyi) ks. Józefa Grzegorza Wojturowicza.

Wołonczewski ur. w Natranach 1799 roku, adyjunkt akademii duchownej wileńskiej i pro-

że Szambor był bardzo nieszczęśliwym w pożyciu z drugą żoną i że to nieszczęście widocznie wpłynęło na stan jego umysłu. Już dawniej wiedział i słyszał o tem, że dzisiejszy jego gospodarz jest dziwakiem, teraz jednak dowiedział się o powodach tego dziwactwa.

Wyjaśniło mu się wiele rzeczy. Namiętność Szambora do muzyki miała grunt w rozdartej jego duszy, którą chciał czemś uspokoić. Grał prawie na wszystkich instrumentach, na skrzypcach, na trąbce, na czekanie — tylko na fortepijanie grać nie umiał. Jakkolwiek to mogło właśnie usprawiedliwić pochodzenie jego cygańskie, Floryjan uważał to jednak za wymysł ludzki. Szambor bowiem nie tylko, że cygańskich nie zdradzał skłonności, ale był człowiekiem wykształconym i w chwilach zdrowszych mógł nawet wybornie całe towarzystwo ubawić.

Zachowanie się jego przy powitaniu wziął na karb tego ugruntowanego dziwactwa, a z namiętności do muzyki wypłynęło zapytanie, które słusznie każdego lepszego artystę obrazić mogło.

Tak wytłumaczył teraz sobie Floryjan nową swoję sytuacyję i postanowił według tego zmierzać do celu.

Wszystkie pospieszne działania wydały się niebezpieczne. Zgryźliwy starzec i dziwak mógł w napadzie złego humoru pokrzyżować mu plany. Potrzeba więc było ugłaskać pierwej dziwaka, wprowadzić w dobry humor a potem powoli zwierzyć mu tajemnicę serca....

Takie postępowanie zakreślił sobie teraz Floryjan.

XXI.

Było już południe, gdy Floryjan przekonawszy się że brytany na łańcuchu są uwiązane, zeszedł ze swojej wieży pustelniczej, aby się po obejściu trochę rozpatrzyć a przytem może i gospodarza spotkać.

Zaraz na dole powiedziano mu, że Szambor wyjechał na drugi folwark. Została mu więc swoboda obejrzenia się po całem gospodarstwie.

Przeszedł długi dziedziniec, zwiedził gumna i szpichlerz a nawet zdaleka obejrzał gorzelnię, którą właśnie restaurowano dla nowej kampanii. Był w ogrodzie i inspektach, skosztował nawet cierpkich winogron, które wisiały rozpięte na południowym parkanie. Zaczepiał ludzi, mówił o tem i owem, i nigdzie nie znalazł nic nadzwyczajnego. W końcu obszedł cały pałac do koła, policzył okna i prócz dwóch okrągłych, kratą żelazną zaopatrzonych otworów, nie znalazł także nic tak bardzo dziwnego, co by do rozmowy starego Szymona można było przystosować.

Floryjan zaczął się już oswajać z nowem położeniem i nabierał co raz więcej otuchy, że sprawa jego może się bardzo dobrze zakończyć, byle tylko dziwactwom opiekuna w drogę nie wejść. Spokojnie więc przyjął propozycyją starego Szymona, który mu obiad na wieżę przynieść przyobiecał, gdyż pan jego, który z folwarku powrócił, sam jeść obiad zamyśla. Floryjan wyszedł spokojnie na wieżę, zjadł obiad i cierpliwie czekał wieczora, w którym jego wiolonczela przybyć miała.

I jeszcze dobrze było przed wieczorem, gdy stary Szymon coś podobnego do trumny wniósł do izdebki.

Oczy Floryjana rozjaśniły się.

— Czy nadeszły jakie listy do pana? zapytał z ciekawością.

— Nadeszło ich wiele! odparł służący.

Floryjan zamyślił się. Mógł bowiem nadejść list od babuni lub Salomei. Cóż w takim razie było począć? Oczywiście nic — póki stosowna nie będzie pora. Zresztą z pierwszego spotkania gospodarza można będzie osądzić, czy list jaki otrzymał i jakie ten wrażenie na nim sprawił.

Załatwiwszy w ten sposób naprędce sprawę swoję, wyjął Floryjan instrument z futerału i zaczął grać.

Za pięć minut stał już przed nim Szambor. Poszedł sam do jego izdebki, uścisnął mu rękę z całą serdecznością i usiadł koło niego z iskrzącemi oczami.

— Graj pan — graj dalej! mówił do niego głosem wzruszonym.

Floryjan grał dalej. Szambor słuchał go z natężoną uwagą. Sine żyły wystąpiły mu na czoło, włos siwy zjeżył się, głowa pochyliła się na piersi.

Długi czas zostawał w tej pozycyi. Wreszcie ustała gra. Szambor podniósł głowę do góry, i uściskał serdecznie artystę.

Jakże innym człowiekiem był on teraz! Zimny, szorstki głos, zmienił się w miękki i dźwięczny, ciepły koloryt uprzyjemnił mu twarz, oczy patrzały łagodnie i z pewną niemą skargą. Uścisk ręki był gorący i serdeczny.

Floryjan rozjaśnił także twarz — złowrogie mary pierzchły od niego.

— A teraz pójdź pan do mnie — ozwał się Szambor — bo już szczęściem dla człowieka jest, jeżeli kilka godzin szczęśliwych przeżyje!

Obaj melomani zeszli na dół. Przed oczyma Floryjana roztoczył się teraz przepych prawdziwie królewski. Przechodzili przez duże, wspaniale urządzone komnaty. Aksamit i sztuki zapełniały wszystkie przestrzenie. Zwierciadła i obrazy przedzielały je symetrycznie. Na ziemi leżały perskie dywany.

Floryjana odurzył ten przepych azyjatycki. Pierś artysty podniosła się wysoko w krainie sztuki i przepychu. Wyobraźnią swoją gorącą przystosował się na prędce do tego tła wykwintnego i był pewny że takie tło mu się należy, jako człowiekowi w przyszłości znakomitemu!

Śmiałym krokiem szedł za gospodarzem, stąpał z góry po cudownych arabskich dywanach i był we wszystkich ruchach swoich tak swobodny, jakby się rodził śród przepychu!

Gospodarz zaprowadził go do swego gabinetu. Była to komnata przypominająca zbytkowem urządzeniem budoar modnej damy. Duże rzeźbione biurko z włoskiego orzecha stało prawie na środku. Ornamenta tego biurka składały się z samych symbolicznych figur miłości i przyjaźni. Zdaje się, że to biurko służyło ongi pięknej kobiecie — która od nie-

---

fesor od r. 1842 teologii, i profesor akademii duchownej tranzlokowanej do Petersburga do 1845, w tym roku powrócił do swych okolic rodzinnych, nie mogąc znieść klimatu nad Newą.

Za powrotem wykładał religiją w Krorach, w gimnazyjum Chodkiewiczów; i rektorował w swem dawnem seminaryjum we Wroniach. Wtedy zbliżył się do ludu, w języku jego zaczął przemawiać, i jak mówi *) Bartoszewicz, zaczęto w nim wtedy upatrywać pewną niechęć do szlachty, do klas oświeceńszych. Wtedy także zajął się dokładnym opisem biskupstwa żmudzkiego, z historyją osób, kościołów, i instytucyj kościelnych. Bartoszewicz mu ma za złe, że tyle wiedzy zagrzebał w nieznanym języku, gdy wątpliwa, czy lud żmudzki mógł czytać z ciekawością jako nieprzygotowany takie dzieło, a uczeni mogący z niego użytkować, języka nierozumieli. Zarzut to pono słuszny i stwierdzający powyższe podejrzenia uczuć anty-szlacheckich. Dzieło owo wyszło w Wilnie 1848 r. p. t. Apraszas Zamaitin Wiskupistes. Opis biskupstwa Żmudzkiego. Ślad jest tylko przekładu polskiego przez kogo innego dokonanego. W skutek konkordatu 1848 r. Wołonczewskiego wybrano na biskupa Telsz., 1849 r. prekonizowano, mianowano ukazem i wyświęcono 1850 r. **).

Biskup ten w dziejach religijnych Żmudzi jest ciekawem zjawiskiem. Najprzód przerwał prawdziwą dynastyją biskupów z rodu Gedrojciów, następnie dyjecezyja za Wołonczewskiego ujrzała się pierwszy raz w innych granicach (gub. Kowieńska i Kurlandzka), dalej choć dawniej miał biskup dwu sufraganów miedzieckiego i żmudzkiego, a teraz trzeci przybył kurlandzki; Wołonczewski rządził sam do 1859 r. w którym nastał sufragan żmudzki, Bereśniewicz.

Zwyczajem było biskupa Wołonczewskiego żądać raportów od proboszczy, kto umie czytać, a między innemi dziełami dla ludu swego, przełożył Naśladowanie Chrystusa przez Tomasza a Kempis. Umarł w Kownie 29 maja r. b. Śmierć jego tak osieroca kościół katolicki na północy, jak zgon dawniejszy Brynka na południu pasa ziemi północno-zachodniego. Prawie spółcześnie 31 maja zgasł ks. bp. Wojturowicz.

Jestto w pewnym względzie antyteza do Wołonczewskiego. Jest on z pochodzenia wieśniak, urodził się 1790 r. we wsi Szönwald, uczył się w Tarnowie i Wiedniu, a zrazu rządząc po śmierci biskupa Potockiego dyecezyją przemyską której poprzednio był sekretarzem, potem proboszczem kapitulnym, od 1840 r. objął po biskupie Zacharyjasiewiczu dyjecezyją Tarnowską. Rządy b-pa Wojturowicza przypadły na czasy nieszczęśliwe dla prowincyi, a gdy „mimo swego włościańskiego pochodzenia (pisze korespondent Kroniki), jako chrześcijanin i kapłan ostro wystąpił przeciw rozruchom chłopskim i ich sprawcom, sprowadził różnorodne kolizyje," w skutek których złożył swą godność i od r. 1850 zamieszkał w Mogile. Tym sposobem obok ks. Antoniewi-

*) Encykl. Orgelbr. t. 27 str. 778.

**) Kuryjer Warszawski podaje r. 1850, kronika 1849 objęcia dyjecezyi p. W.

go w świat daleki odeszła. Dalej była szafka z hebanu w stylu gotyckim, mieszcząca w sobie małą biblijotekę. Adamaszkowe kanapki, fotele i szeslongi — bronzowe zegary, posążki, zwierciadła i obrazy wszystko to napełniało komnatę aż do zbytku. Naprzeciw drzwi wchodowych była duża szafa z taflą zwierciadłową. Zdawało się jednak Floryjanowi, że to były tylko drzwi maskowane.

W atmosferze takiego zbytku i komfortu wyprostował się Floryjan, jakby był w swoim żywiole. Komfort bowiem taki wpływał dziwnie na jego wyobraźnię, którą uważał za najpierwszą władzę duszy. Człowiek bez komfortu był niczem w oczach jego — był małem, nieznacznem stworzeniem!

Podgarnął długie włosy do góry i rozparł się na adamaszkowym fotelu.

Rozpoczął się duet. Szambor grał na skrzypcach. Tymczasem w przyległym pokoju nakrywał stary Szymon do herbaty, która z wszelkiemi przyborami miała być prawdziwie cesarską.

Po skończonej grze uściskał Szambor swego gościa jak najserdeczniejszego przyjaciela. Zmienił się nagle dla niego jakby dotknęła go różczka czarodziejska. Był uprzejmy a nawet nadskakujący. Przy herbacie prawie usługiwał mu. Sam podawał mu wykwintne przysmaki, nalewał kieliszki.

Floryjan urósł w tej chwili sam przed sobą. Wprawdzie raczono go nieraz w ten sposób, ale dzisiejsza gościnność gospodarza była prawie wyjątkowa.

Utwierdziło go to w wierze, że jest człowiekiem znakomitym i że taka gościnność z prawa mu się należy. Zarzucił w tył długie włosy i zamarzył słodko o przyszłych laurach.

Śród tych marzeń przypomniał sobie właściwy cel swojej podróży. Miał teraz dobrą otuchę — bo i sam jakoś wyżej stanął i u gospodarza widział wielką życzliwość.

Przyszło mu teraz do głowy, skąd ta życzliwość tak nagła może przychodzić? Przypomniał sobie, że Szambor otrzymał listy — a być może, że między tymi listami był list Salomei. List ten mógł dobrze wpłynąć na opiekuna i spowodować jego życzliwość. Widocznie kontent był Szambor z tego, że po rękę jego krewnej zmierza. Wprawdzie mogła do tej zmiany gospodarza przyczynić się gra na wiolonczeli, którą namiętnie lubił — ale do gry mogła się także przyczynić wiadomość od Salomei.

Tak w głowie swojej rozbierał to Floryjan i już chciał zagrzany winem i marzeniem napomknąć coś o swoich zamiarach, gdy Szambor nagle wziął go za rękę i ozwał się do niego.

— Jednej rzeczy zazdroszczę panu — to jest swobody serca!

— Swobody serca? powtórzył Floryjan i spojrzał ciekawie na mówiącego.

d. c. n.

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO
w XII i XIII wieku

szkicował
Ernest Świeżawski.

I.
Wojna niewieścia.

Śmierć pokutnika na tronie.

Było to 28 Października 1138 r.

W Płocku, u którego stóp, pod wysokim brzegiem, Wisła swe szumiące fale przewija, gromadzą się liczne drużyny wojenne na setki i dziesiątki podzielone, pod wodzą swych miejscowych dygnitarzy, to czestnikami wogóle, to żupcemi (żupanami), to wreszcie jobagami złacińska (zamiast żupak) zwanych. Ci „dukowie“ i „komesi“ (na Mazowszu kmieciami tytułowani) wiodą każden po szczególe służbowych żołnierzy swej prowincyi czyli „opola“ którzy jak inni członkowie gminy to jest jak rataje, kołodzieje, bartniki (świepietniki), skórzewniki, piekarze, bobrownicy i t d. czynią w naturze powinność dla państwa. Liczne te pułki bywają, a jeszcze liczniejsze bywały za Bolesława I. Sam okręg gnieźnieński, któremu i teraz chorągiew z Św. Wojciechem, patronem Polski przewodzi, wystawiał wówczas półtora tysiąca kiryśników a pięć tysięcy tarczowników.

Obok tych pułków opolowych, strojem się odznacza tak zwany pułk „dostojników“ albo „nadworny“ biorący stąd miano, że go znakomitości największe składają. Wszyscy się odznaczają rynsztunkiem zachodnim, cechami „rycerstwa pasowanego,“ a w czasie wypraw zaszczytne zajmują miejsce przy boku panującego. Na barkach tego rycerstwa wisi tak zwana kierezyja lub krzezno to jest opończa granatowa, kożuchem podbita, z sutym kapturem, jaką dotąd Kujawiacy Skalbmierzanie a mniej wyrazistą Krakowiacy, lubo w innej barwie i nieco zmienionym kształcie, ale pod jedną nazwą, dotąd noszą.

Zwykle prosty kożuch, zwłaszcza świeżo zdarty z upolowanego zwierza, najświetniejszym strojem bywa dla ogółu mieszkańców. Na dworze Bolesławów, nie poświecisz kożucha bez pokrycia na wierzchu. Husarze późniejszej doby, którzy jak *pasani*, opisywanych przez nas czasów, składali czoło armij polskich, zastąpili owo krzezno wspanialszą rysią lub lamparcią skórą, obróconą radnem do góry. Nasi pasani rycerze uzbrojeni na wzór szewaleryi normandzko-zachodniej od której przyjęli nie tylko stroje, ale i nazwę przygotowawczego niższego stopnia rycerzy squierius, angielski squire, francuskie ecuyer, później w Polsce przerobione na s(k)wirczałka (scartabellus), zamiast „włodyka,“ do ubrania swego dodali jeden czysto miejscowy szczegół. Mianowicie do sukni, którą Mateusz Cholewa, spółczesny kronikarz porównywa z tej racyi z togą praetexta, dorosłej młodzieży rzymskiej—na dole przyszywali pas szeroki purpury, złotemi gwiazdami posiany „polskim obyczajem“ jak mówi spółczesny kronikarz i Opat zwifalteński Bertold, dobrze obeznany z takiemi szczegółami, bo kolatorski ród

---

cza świeci wysokim blaskiem apostolstwa zasad: miłości i przebaczenia grzechów przeszłych, zmarły dopiero co biskup tarnowski.

— W dalszym ciągu kursu pedagogiczno-szkolnego wydał P. *August Jeske* nakładem księgarza lubelskiego pana Stanisława Arcta „Pedagogikę“ obejmującą zasady i metody moralnego, fizycznego i naukowego wychowania dziatek, ze szczególnym względem na potrzeby wychowania domowego. O tej nad wyraz wszelki pożytecznej książce damy sprawozdanie oddzielne, a tymczasem pozwólcie na wierną kopiję z rozmowy jakąśmy sami mieli na ten temat przed paru dniami.

— Ot gdybyście panowie pierwsi wpadli byli na ten koncept — Arct z pewnością zrobi na Jeskim — szalony interes....

— Pod jakim mianowicie względem?...

— I pod jednym i pod drugim — pod moralnym i pod materyjalnym zarówno. Że Arct nad przedruk jakichś dajmy na to powieści przełożył tak nam dziś konieczne wydawnictwo, zasługa to obywatelska prawdziwie, że opłaci mu się to sowicie, toć nie sekret przecie żaden....

— Ej Szanowny Panie, co do pierwszego zgoda — co do drugiego sekret to widocznie dla pana ogromny. Wydawnictwo Arcta to rzecz wcale kosztowna, na pokrycie wydatków potrzeba mu, bo niestety wiemy to ze smutnego bardzo doświadczenia, sprzedać każdej książki po jakie 2000 egzemplarzy przynajmniej a na to....

— Dwa tysiące egzemplarzy?... a ja panu ręczę że każdej takiej książki sprzedaje się dziś u nas i to w lot jak się mówi, co najmniej po egz. 30,000... Dziś matki polki...

— Pozwól mi Pan na Bóg żywy przerwać rozmowę — bo nie chciałbym Cię odczarowywać boleśnie. Gdyby Arct sprzedawał w ciągu roku po 2000 egz. chociaż, to jeszcze dobrze by było...

— A ja, odrzekł osowiały już widocznie zapaleniec szlachetny — a ja niezbyt dawno z wiarą taką i z dumą taką, spierałem się z jakimś guwernerem niemcem który... ale masz pan racyją... może lepiej nie mówić już o tem...

Nakładem Biblijoteki Rolniczej, wyszła w tych czasach książeczka zasługująca w istocie na szczególną uwagę — ze względu praktycznej wartości swojej. Książeczka nosi tytuł: *„Przewodnik wykazujący wady i zalety koni czyli nauka o powierzchowności konia“* a ma na celu ochronę od strat kupujących, co się bardzo często przytrafia.

Napisana językiem prostym i jasnym — obok szczegółowego na podstawie anatomii i długiego osobistego doświadczenia autora, opisu konia — książeczka obejmuje jeszcze dwa również praktyczne i pożyteczne rozdziały mianowicie *„Oszukaństwa handlarzy“* i *„Prawo obowiązujące przy sprzedaży konia z wadą.“*

Skład główny przewodnika w księgarni Celsa Lewickiego — a cena kop. 15.

Kiedy już o nowościach wydawniczych mowa, zaznaczyć nam wypada iż w tych także czasach wyszła w oddzielnej książce (dwie

hr. Bergen spokrewniony z panującemi w Polsce, zasyłał mu tego rodzaju dary z nowej swej ojczyzny.

Na szyi lub u pasa przedstawicieli zachodniego rycerstwa w Polsce, wisi łańcuch złoty, utrzymujący miecz, i służący razem za znak przyjętego pasowania. Słabe jego wspomnienie zachowało się dotąd w szeregach kółek blaszanych, które zdobią pas chłopków krakowskich.

Mimo całej tej świetności ubioru, wbrew bojowemu przyborowi zebranych, dalekiemi są od nich uczucia, jakie podobna chwila „okazowania" rycerskiego budzić nawykła w ich sercu. Mimo pogody zawdziane na głowę „kaptury" wojowników zdradzają smutek zebranych. Zostaną one później znakiem sądów przez sam naród odbywanych, gdy zwykłego wyrokodawcy na tronie zabrakło, znakiem który przejęty z zachodu cechuje zupełność piastowanej władzy w przybierających go. Dziś one wskazują, że Bolesław Krzywousty już umarł albo bliski bardzo jest kresu swej ziemskiej wędrówki.

Ciche też w ostatnich latach komnaty zamku wielko-książęcego, obce tłumnym biesiadnym gwarom, dziś się napełniają przyszłemi godownikami... pośmiertnej uczty, czyli stypy. Zbierają się oni po raz ostatni w około „smoka ogniożerczego" i „wilczego syna," lecz jakżeż te przydomki dziś zdają się niestosowne dla tej ascetycznie wychudłej postaci! W tym posiwiałym przedwcześnie i wynikłym zarówno trudami jak i pokutą pięćdziesięciotrzyletnim starcu, ktoby się dopatrzył owego młodzieniaszka, który choć „jeszcze sam wsiąść ani zsiąść z konia niebył zdolen," przecie dążył na wyprawy dalekie? Niktby nieuwierzył, że złamany ten myślami człowiek, nie tylko dzika mógł pokonać, ale i myśliwca który mu zdobyczy tej łowieckiej orężem zaprzeczał? W chwili, gdy czyniono przygotowania do obrzędu przyjęcia w stan rycerzy, który zarazem był w Polsce przelaniem tytułów następstwa i dziedzictwa, spieszyć na połowieckiego napastnika, i wracać jeszcze giermkiem w laurach godnych rycerza; wyjechać na ślub któregoś ze swej szlachty i tu niechając nudne dla się biesiady, polować w lasach i w ośmdziesiąt młodzieży z narażeniem życia własnego niespodziewanych a mnogich napastników pomorskich zamiast tropionego zwierza ubić; w sześć dni, zbrojno, konno, bez wytchnienia, odbyć drogę od Głogowa do Kołobrzegu, i to nie raz jeden, takiego rodzaju sztuki dokazać; przebywać z wojskiem, jak drugi „Annibal" nietknięte stopą ludzką góry;—odświeżyć tak dalece pamięć nadmorskich wypraw swych przodków, że aż ją zatarł, bo pieśń u Gallusa kronikarza opiewa:

> w soli lub cuchnące przynosili ryby starzy, dziś ich syny przynoszą drgające i świeże; miasta napadali ojcowie nasi dawniej, ci burz się nie boją i morskich odgłosów; szczwali nasi ojce jelenie dziki, kozły, ci łowią mórz potwory i wodne bogactwa....

oto przewagi człowieka, który „w włosiennicy, leży na ziemi popiołem zasutej, zalewa się łzami, wzdychając; usunięty od ludzkiego towarzystwa i pożycia, poczytywał sobie ziemię za stół, zioła za pokarm, chleb ościasty za łakocie, wodę za napój boski."

Snać potężną musiała być wewnętrzna burza, która ten dąb złamała; wielką chyba była zbrodnia, którą podobną pokutą gładzono. Drażliwe to musiało być sumienie, gdy mimo pielgrzymek do Saint Gilles des Boacheries pod Nimes w 1128 r. i do węgierskiego Białogrodu 1129 czy 1130 odbytych, nieznalazło utraconego spokoju. Zbyt ciężko oślepienie i wygnanie brata Zbigniewa trapiło Bolesława, gdy nawet i rozgrzeszenie papieskie i pomoc duchowna, i uczynki miłosierne, swobody moralnej wrócić przestępcy niezdołały.

I teraz przybór komnaty sypialnej „wielkiego książęcia i pana" czyni ją raczej podobną do celi zakonnika, i oznaki władzy zaciera wskazówkami ostrej pokuty. Przy umierającym klęczą najwyżsi dostojnicy kościoła: Jakób Lubomir arcybiskup gnieźnieński, Bogufał bp. poznański, Rugo bp. wrocławski, Aleksander płocki, Radost krakowski i w. i., modlitwami krzepiąc upadającego ducha. Szept „nabożeństwa do N. Maryi P." które od czasów wyprawy na Kołobrzeg (1107) stale zaczął obchodzić Bolesław, obiega całe koło zgromadzonych u jego łoża. W ich liczbie jest i Salomea hrabianka Bergen, druga żona Krzywoustego; w bolesnej postaci ukorzona, raczej łkaniem jak słowami bierze udział w nabożeństwie. Do niej przytulony stoi w dziecięcej rozpaczy młodociany Henryk; na stoicyzm sili się Mieszko, od hartu ducha nad wiek silniejszego niedaremnie zwany „Starym." Niedopatrzysz wyrazu twarzy jego brata ojcowego imiennika, który się urodził 1127 roku. Wbrew ówczesnej rycerskiej modzie, uważającej włos krótki za znamię wojowniczego zakonu, obfite i długie kędziory spływają na twarz w smutku pochyloną, i ukrywając wyraz oblicza, przekonywają o słuszności przezwiska „Kędzierzawy", nadawanemu młodemu Bolesławowi.

Znać boleść i na twarzy Władysława najstarszego syna, który urodzony 1105 r. jako ojca spółrządca już w r. 1120 występował. Atoli z uczuciem bliskiego sieroctwa miesza się duma przyszłego władcy, i z pod powieki łzami nabrzmiałej, pada chwilami wzrok radosny na pochyloną postać nadobnej małżonki. To Agnieszka, dumna córa i siostra Augustów niemieckich, schyla głowę nad umierającym... nie z troskliwości jednak... ono śledzi rychło li ten, z ostatniem tchnieniem, ustąpi pożądanego miejsca jej i jej mężowi. W wargach hardo zaciętych smutku niedopatrzy się; brew zmarszczona zdradza namysł głęboki nie smutek hamowany. Zgięte tam kolana, ale kark wyniosły; postać korna, ale duch rogaty. Czuć tam, że jak w łuku, im większe napięcie, tym pocisk dalej wybieży i silniej porazi.

d. c. n.

---

części w jednym tomie), powieść czy lepiej cały szereg szkiców humorystycznych p. t. *Przygody Fanów Marka* i *Agapita* podczas Wystawy Rolniczej w Warszawie, przez Jordana autora „*Wędrówek Delegata*." — Ocenę „Przygód" mamy już przygotowaną i wkrótce takową pomieścimy w „Opiekunie." — Tymczasem zaznaczamy tylko iż książka o jakiej mowa, wyszła nakładem P. Józefa Ungra a cena jej rs. 1.

Dowiadujemy się, że do świątyni Melpomeny puka znowu gromadka młodziutkich adeptów. Małoletni ci artyści, usamowolnieni z pod opieki starszych dyrektorów, ścielą sobie nowe gniazdeczko w ogródku zwanym Nadwiślańskim, na Pradze. Rzeczywiście, wybór miejsca zdaje się najstosowniejszy. Ludność przedmieścia pozbawioną jest wielu zabaw, po które aż do Warszawy dążyć musi. Miejscowy teatrzyk będzie miał zapewne powodzenie, jeżeli tylko zechce zastosować się do potrzeb umysłowych tamtejszej ludności. Składa się ona przeważnie z niższych warstw społecznych. Lekkie komedyjki ze śpiewkami, ludowe utwory Anczyca i t. p. sztuczki byłyby tu najstosowniejszemi produkcyjami scenicznemi. Lecz obok tego wszystkiego, radzilibyśmy młodziutkiemu gronu artystów, postarać się o jakiego starszego wiekiem i doświadczeniem przewodnika.

Często przychodzi nam bywać w zakącie, który stanowi główną drogę komunikacyjną między wyrobniczą i rzemieślniczą dzielnicą Solca, a cyrkułem arystokratycznym i handlowym Krakowskiego-Przedmieścia i Nowego-Światu. Na tej drodze pracy do kapitału, z jednej strony rozsiadło się ośm (8) szynków i pięć (5) bawaryj czyli ogródków, nie licząc z drugiej strony głównego głowonoga, któremu przyrosła nazwa „Karasia." W tych przytułkach spirytystycznej szkoły, pieprzem i innemi ingredyjencyjami palącemi przyprawiona wódka, a raczej woda z troszką okowity, ma stanowić rzeczywiście konieczny zasiłek robotnika. Doświadcza to każdy na sobie, że po usilnej pracy umysłowej, kieliszek dobrej wódki z dobrą mięsną i jarzynną strawą przywraca mu siły wyczerpane. Faktem zaś znanym jest na wsi, że kieliszek wódki utrzymuje cały dzień żniwiarza na nogach przy ciężkiej pracy na słońcu. Są więc pewne własności w okowicie, zapewne i w innej postaci (cukier np.) zdolne wejść do żołądka, które potrzebne są organizmowi wycieńczonemu, i bez których fizyczny pracownik obejść się nie może. Przypomina się nam jeszcze okoliczność, że zwilżenie wódką wnętrza ust, lub mała jej ilość połknięta, uspakaja pragnienie w braku wody, lepiej od samej wody.

Z zasady przeto wódki potępiać niemożemy. Inną jest rzeczą upijanie się, przechodzenie umyślne w stan, który mylnie „zbydlęceniem" nazywamy. Zwierzę domowe dopuszcza się akcyj, których dzikie niepopełni, alež bo to jest zwierzę cywilizowane, mające wady i cnoty wyższej, sztucznej kultury, a wyzute z podległości loicznym prawom przyrodzonym.

Człowiek pijany nie przechodzi w stan zwierzęcy, nie bydlęceje w tem rozumieniu, żeby będąc nieprzytomnym, działał jak zwierzę,

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

V.

Jakim sposobem przyroda leczy zapalenie płuc i suchoty płucne?

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Nie należy sądzić, że w chorem ciele odbywają się jakieś szczególne, nadnaturalne zjawiska, podczas zupełnego lub niezupełnego usunięcia choroby, za pomocą leczniczej siły przyrody. Nie, mają tu miejsce też same fizyczno-chemiczne sprawy i działają one według jednych i tychże praw, co i w zdrowem ciele. Tylko na nieszczęście, sprawy rzeczone nie zawsze prowadzą do wyleczenia, i często, całkiem jednakowa sprawa, w jednej chorobie pomaga, a w wielu innych szkodzi., Tak np. w wielu razach, dla osiągnięcia wyzdrowienia, niezbędną jest rzeczą, ażeby wysiąk, pochodzący ze krwi, uległ skrzepnieniu i stwardnieniu (jak to dzieje się przy ranach oraz złamaniu kości), podczas, gdy w innych chorobach, stwardnienie to, uczyniłoby chory organ niezdolnym na całe życie do działania.

Stąd, główne zadanie wykształconego lekarza powinno na tem polegać, ażeby przy każdej sprawie chorobowej, starał się wzbudzić i podtrzymać takie zjawisko, które według wskazówek nauki, okazuje się zbawiennem w danym wypadku. Jeśli np. skrzepnięte części składowe krwi, nagromadzą się w przewodach lub innych pustych przestrzeniach i zanieczyszczą takowe (jak w płucach przy ich zapaleniu), to trzeba stwardniałe te masy wydalić, za pośrednictwem rozmiękczenia tychże; w owych zaś razach, kiedy wyleczenie wymaga, ażeby skrzep przeistoczył się w twardą tkankę (jak przy ranach), należy przeciwnie, zapobiedz rozmiękczeniu jego i rozrzedzeniu. Stosownie więc do tego, czy choroba dotyka ten lub ów organ, albo krew, i objawy lecznicze będą rozmaite, podobnie, jak w jednej i tej samej części, mogą według różnego rodzaju cierpienia, powstać i odmienne sprawy lecznicze.

Przypatrzmy się teraz bliżej zjawiskom, odbywającym się przy wyleczeniu chorób miejscowych. Do wyleczenia pomaga najczęściej nienaturalne zjawienie się krwi w najdelikatniejszych naczyńkach krwionośnych, które bywa zawsze połączone z wydzieleniem cieczy ze strumienia krwi. Ciecz ta, wkrótce po wydzieleniu, albo krzepnie, albo pozostaje płynną. Pomieniony, to wysiąk, po stwardnieniu i przeistoczeniu się na nową tkankę, powstrzymuje działanie spraw niszczących, tamuje krwotoki. czyni nieszkodliwemi pochodzące z zewnątrz obce ciała lub utworzone wewnątrz masy szkodliwe, otaczające je szczególną osłoną, sprzyja zagojeniu ran, złączeniu tego, co zostało rozdzielone, zastępuje więcej lub mniej dokładnie, to, co zostało zniszczonem i t. d. Przeciwnie, wysiąk płynny pomaga do rozmiękczenia i rozrzedzenia, a więc i do wydalenia tworów stwardniałych, usuwa materyje szkodliwe oraz ciała, które dostały się z zewnątrz, niekiedy powstaje zeń ochraniająca osłona, a nawet, może on uczynić mniej szkodliwemi lub całkiem pozbawić szkodliwości skoncentrowane materyje szkodliwe.

Sprawa wydalania (wsysania) posiada dla tego taką ważność w chorobach wielu, że za jej pomocą może być usuniętem wszystko, co jest płynne i rozrzedzone, oraz utworzyło się na niewłaściwych miejscach. Wydalenie to, odbywa się za pośrednictwem naczyń limfatycznych lub krwionośnych. Lecz naczynia limfatyczne (inaczej chłonne) zabierają tylko to, co nie jest podobnem do krwi, pod względem jej składu chemicznego, a więc szczególniej twory chorobowe i jadowite; przyjmują one jeszcze i to, co pozostawiły naczynia krwionośne (zatem, przeważnie materyję do krwi podobną). Tak np. przy pomocy sprawy wsysania bywają wydalone wodniste i zapalne (ropiaste) ciecze z osierdzia, przepony lub z płuc, również z jamy brzusznej, stawów i in. wylana krew, w części lub zupełnie, zostaje znów wessaną: nabrzmiałości giną lub zmniejszają się, nawet nienormalna massa kostna może powoli być usuniętą, za pomocą tejże sprawy.

Nowotwory (t. j. nowopowstała miękka lub twarda, włóknista, chrząstkowata lub kostna tkanka i t. d.), w wielu wypadkach chorobowych sprowadzają szczęśliwe zejście, przeszkadzając przebiciu organów, ograniczając rozstrojenia, zamykając w torebce wszystko co jest szkodliwem, lecząc rany i wrzody i t. d. Nowotwory te powstają głównie ze stwardniałego wysiąku przy odpowiedniem cieple (właściwem naszemu ciału, podczas, gdy przy zbyt niskiej lub wysokiej temperaturze, rzeczony wysiąk może uledz innym, często szkodliwym przeistoczeniem. Kilka przykładów wystarczy do potwierdzenia tego, cośmy powiedzieli, a zarazem przekona czytelnika, w jaki sposób przyroda działa w różnych chorobowych stanach.

Z pomiędzy cierpień płucnych, najczęściej dotykają ludzi wszystkich krajów i wieków — zapalenie oraz suchoty (gruźlica). W owych to chorobach, sprawia przyroda prawdziwe cudy, bez względu na całą szkodę, jaką przynoszą tutaj lekarze i nielekarze.

Przy zwyczajnem zapaleniu płuc, z naczyń włoskowatych, pokrywających jakby siatką pęcherzyki powietrzne i przepełnionych wtedy nienaturalną ilością krwi, wydziela się gęsta kleista ciecz do jamek tychże pęcherzyków; ciecz ta, niekiedy bywa w części wykasłaną, lecz w wielu razach, krzepnie, staje się twardą), i zapychając zupełnie pęcherzyki powietrzne, czyni je niezdolnemi do przyjmowania powietrza (do oddychania). Jeżeli w podobny sposób zasłabnie większa część płuc, wówczas niechybnie nastąpi śmierć wskutek, zaduszenia, pomimo upustu krwi przez aleopatów i zadawania tojadu (aconitum) przez homeopatów. Jeśli zaś zapaleniu ulegnie nieznaczna tylko część jednego lub drugiego płuca, wtedy przyroda, bez żadnych lekarstw i doktorów, leczy tę chorobę płucną w następujący

---

które się nigdy nie upija i przeciw swej naturze nie działa. Pijak raczej, w pewnej chwili krótkiego alkoholicznego wyjęcia się z pod praw sztucznej swej kultury, odzyskuje popędy swej pierwotnej dzikiej natury. Na progu bezprzytomności, a po za zruconemi szatami przybranej cywilizacyi, na chwilę—upijający się podlega przez sztukę zwichnionym prawom fizycznej swej organizacyi. Instynkty straciły już w nim swą normalnę miarę, a rozum stracił władzę nad wolą. Dla tego też człowiek hołdujący instynktom swym tak jest wstrętnym, tak niższym od zwierzęcia. Bądź co bądź jednak, krótka jedna faza w upojonym, zdradza człowieka prawdziwego.

Ależ jaki to smutny widok, gdy się widzi takie dziecię naiwne, sztucznie alkoholem wytworzone w otoczeniu wyższej, choć bardzo względnej cywilizacyi. I pod Karasiem, można spotkać obrazki z kulturkampfu amerykańskiego lub australskiego.

Wracaliśmy właśnie po godzinie zejścia robotników z „fabryk" koło Karasia. Jakiś robotnik, sądząc po kopciu twarz i ręce okrywającym, z jakiejś metalowej parowej fabryki, wytoczył się chwiejąc, z sieni byłego pałacu. Czapka włożona z fantazyją, zuchowata mina, wbrew niepewnym ruchom, tchnęła jakąś dziwną poezyją. Mimowoli po gestach trochę ociężałych, prawie że poważnych, po długości przemówek po drodze rzucanych, przypominałeś sobie karykaturę Indyjan Cooperowych.

Mimo smutnego wpływu „ognistej wody," naturalna poezyja ciała, wybijała się w tym upadłym człowieku.

Trochę zawadyjacko przemówił do jakiegoś „od Waszecia," ale w tej alokucyi mało co było rażącego. Potem posunął się ku otwartym wrotom pieczary. Tu spotkał się z jakąś młodą dziewczyną... ruchy, strój, wyraz twarzy zdradzał, że należała ona do umiejętnych pomocnic zakładu wódczanego. Obok grająca katarynka przypomniała dewizę jednego utworu Strausa, z małą odmianą i tu stosującą się: wódka, muzyka i kobiety.

Z trzech punktów przypuszczony atak psychologiczny na głowę i żołądek przez alkohol, przez dźwięki na nerwy słuchu, a damę kamelijową na serce, wskazywał, że sieć dobrze jest założoną na biednych indyjan warszawskich.

Głowa mącona wyziewami trunku musiała jakieś dziwne snić ideały bo oto mój wyrobnik staje przed dziewczyną, długo a niewstrętnie coś do niej mówi, nareszcie całuje w rękę, z pewną układnością. Nie był to pijak, wyrobnik—był to marzyciel, serce spragnione poezyi, nawet w błocie widzące ślad zgasłej perły.

Śmiejcie się czytelnicy z felijetonisty *Opiekuna*, że przed Karasiem, znalazł jak drugi Aleksander Dumas (syn) ideały. Zróbcie tylko zastrzeżenie, że piszący nieidealizował upadku, tylko w upadku spostrzegł resztki dogasającego człowieczeństwa, objawy wrodzonej lecz zmarnowanej delikatności uczuć.

Alkohol odradzał tu na chwilę, może siłą *atawizmu*, czy pierwotnego syna natury, czy jakiegoś potomka zagasłego rodu magnatów.

Następnie scena jeszcze boleśniejsza.

Dziewczyna kiwnęła na kataryniarza i nowy „Orbeka," (z pow. Krasz.) niemogący i nieumiejący inaczej uczcić ideału jak „fundą, "został wy-

sposób: zserowaciały w jamkach pęcherzyków wysiąk, nasyca się limfą, mięknie i zamienia się na gęstą, ropiastą ciecz, której pewna część zostaje wykasłaną, a pozostała wessaną i znów wprowadzoną do krwi. Rozrzedzenie owej wypocinowej i stwardniałej części składowej krwi, odbywa się czasami bardzo powolnie (przez całe miesiące), a niekiedy, dość prędko (w kilka dni), i może mieć miejsce tylko przy udziale wilgotnego ciepła.

Dla tego też, wdychanie wilgotno-ciepłego powietrza (które utrzymuje się w pokoju osoby chorej przez parowanie wody wrzącej), bywa tak ważnem przy leczeniu zapalenia płuc. Pomiędzy zaś lekarstwami alopatycznemi, nie ma ani jednego, któreby mogło wzbudzić pomienioną sprawę rozrzedzenia.

Z tego krótkiego opisu, czytelnik łatwo zapewne pojmie, że dla wyleczenia płuc, głównem staraniem ze strony lekarza, powinno być jak najprędsze wydalenie wysiąku z pęcherzyków powietrznych i podtrzymanie rozrzedzenia tegoż wysiąku, co jakeśmy już powiedzieli, otrzymuje się za pomocą wilgotnego ciepła. Lecz rozumie się, przedewszystkiem powinien lekarz rozpoznać należycie owe cierpienie płucne, przez opukanie i osłuchanie klatki piersiowej, gdyż zapalenie płuc niekiedy pozbawione jest takich widocznych objawów, jak zbyt utrudnione oddychanie, ból w piersiach, kaszel i plucie — a nadto, wszystkie te chorobowe objawy mogą towarzyszyć również i innym cierpieniom płucnym.

Zdarza się, choć bardzo rzadko, że wysiąk zawarty w pęcherzykach powietrznych, zamiast coby miał zamienić się na ciecz ropiastą a potem zostać wessanym lub wykasłanym, przeistacza się w twardą jak chrząstka masę, i wtedy, chora część płuc na całe życie staje się już twardą i niezdolną do oddychania. Za takie stwardnienie, odpowiedzialność może padać jedynie na lekarza, jeśli nie utrzymywał on dość ciepło chorego; zaniedbanie zaś to, nadzwyczaj ważne w leczeniu chorób płucnych, zależy najczęściej od niedostatecznego obznajmienia się lekarza z fizyczną metodą badania.

Przy suchotach płucnych, polegających na odkładaniu się szczególnej, twardniejącej lub przechodzącej w ropę masy (gruzełków), do tkanki płucnej, wskutek czego chora część płuc zostaje zniszczoną, lecznicza sprawa przyrody działa całkiem inaczej, niż przy zapaleniu płuc. Mianowicie, naokoło masy gruźliczej wysiąka ze krwi szybko krzepnąca ciecz (włóknik); po skrzepnięciu, stopniowo przeistacza się ona w stałą, włóknistą tkankę. Nowa ta tkanka, tworzy naokoło twardej, lub już zmienionej w ropę masy gruźliczej, prawie niezwalczoną granicę, która powstrzymuje dalszy rozwój zniszczenia w płucach. Jednocześnie, pomieniona sprawa wysiąkania warunkuje zupełne zatkanie i przeobrażenie w twarde sznureczki naczyń krwionośnych chorej części płuc, tak że gdyby owe naczynia zostały nawet przeżarte ropą gruźliczą, powstałą z gnicia gruzełka, nie nastąpiłby jednak krwotok śmiertelny. Kiedy ropa gruźlicza znajduje się w pobliżu powierzchni płuc, to może ona przedostać się do jamy piersiowej i spowodować tem samem śmiertelne zejście. Przeciwko jednak wzmiankowanemu niebezpieczeństwu, zapobiega przyroda w ten sposób, że na powierzchni płuc, naprzeciw jamy wypełnionej ropą, tworzy się tkanka włóknista, za pośrednictwem której płuco w tem miejscu zrasta się ze ścianą klatki piersiowej, i przez to, ropa nie może już popaść do jamy piersiowej, choćby nawet zniszczyła ona zewnętrzną powierzchnię płuc.

Z tego krótkiego opisu okazuje się, że w suchotach płucnych, nie ma bynajmniej miejsca ciągłe rozżeranie płuc, oraz że człowiek, którego płuca już w części zostały zniszczone przez suchoty, może jeszcze doczekać się głębokiej starości, jeśli tylko będzie troskliwie ochraniać swe, jeszcze zdrowe płuco, od nowego odkładania się gruzełków. Naturalną bardzo jest rzeczą, iż suchotnicy z napółzniszczonemi płucami, muszą podlegać pewnym dolegliwościom, np. zaduszce (astmie), kaszlowi, odcharkiwaniu plwocin, lecz nie powinno to przerażać ani lekarza, ani rozsądnego pacyjenta, i powodować przerzucania się od jednych do drugich metod leczenia. Trzeba ochraniać zdrowe płuco, a chore i zniszczone pozostawić bez kuracyi, gdyż nie może ono być wyleczonem.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatrzyki ogródkowe.

TIVOLI.

O tym skromnym przybytku adeptów Melpomeny robiliśmy już poprzednio małe wzmianki. Dzisiaj pragniemy bliżej rozpatrzeć dotychczasową jego działalność artystyczną.

Otóż przedewszystkiem widoczną w niej jest dążność, godna rzeczywiście uznania. P. *Grabiński*, nie zrażony początkowem niepowodzeniem, stara się niejako zmusić publiczność do okazania mu więcej sympatyi i poparcia. Lecz jakżeż różnych używa on środków od jednego ze współzawodników swoich, który wypisawszy na sztandarze swym nutę kankanowskiej piosenki, obudza zapał w pewnem gronie niezbyt wykwintnej publiczności i tłumy jej gromadzi. P. Grabiński, ratując się chwilowo ze smutnego stanu, jakiemu finansowe operacyje jego uległy, zanucił wprawdzie kilka razy nutę zbyt wesołej piosenki, ale w małej bardzo dozie i w przyzwoitej formie. Już to *papa Ofenbach*, i przyjaciel jego *Lecoque* i inni tym podobni twórcy, nie mają łaski u szan. Dyrektora. Za to p. G. wystawia od czasu do czasu mniej lub więcej udatne płody swojskiej muzy. Ludowe szczególniej komedyjki (*„Okrężne, Łobzowianie“*), wychodzą wcale dobrze. Zagląda też niekiedy szan. Dyrektor do starego skarbczyka komedyi naszych i przedstawia nam *„Staroświecczyznę“ J. N. Kamińskiego* zyskany przez nową „Mirę.“ Kokotka karasiowa przekonała swego amanta—muzyka, że dorażny jej platoniczny wielbiciel ma jeszcze pieniądze, bo nie wprzód przystała na jego prośby aż pokazał trochę monety, i wyrobnik zaprzaszający tylko kobietę, przekroczył próg szynku i w towarzystwie trzeciej osoby.

Odszedłem zamyślony i smutny. Więc zawsze, w różnej postaci, i wszędzie odgrywa się jedna scena: pragnienie ideału, nadzieja że go się znalazło, i radość ze zdobycia celu swych marzeń, i... grubijańskie wytrzeźwienie się?

I pod Karasiem życie pokazuje swe wyższe nauki, niezależnie od scen pijaństwa i zepsucia.

Cóż powiemy o wyścigach tegorocznych? Doczekały się dwu wielkich faktów. Po raz pierwszy torf warszawski widział wielką ceremoniją sportsmenów, zabijania koni na placu wyścigowym, gdzie dla szalonego wybryku swych panów, połamały nogi. Niech to będzie dostojni sportsmeni bez waszej obrazy, ale zarazem wasza instytucyja, jak tegoroczny szlachtuz dziwnie wygląda. Czy wytresowanie *nóg* w koniu podniesie dobrobyt kraju? czy w wyścigach ujawni się wytrwałość pociągowa konia, jego zalety jako wierzchowca wojennego, jego przymioty rozpłodowe, właśnie dla podniesienia naszej hippiki potrzebne?

Więcej nie serca już, ale nawet rozumu pokazali dwaj koniarczyki, którzy ze łzami bronili od zgonu klaczy przez się wychowanej. Ich łzy płynęły z serca, nad losem klaczy; winni byliby płakać nad groszem tak lekkomyślnie zmarnowanym dla czczej igraszki.

Odczyty w *Piotrkowie* ciągną się dalej i zyskują coraz większą liczbę słuchaczów. Ostatni przemawiał *Dr. Wygrzywalski „O emancypacyi kobiet ze stanowiska fizyjografii.“* Sala była przepełnioną. Jednych zachęcał cel szlachetny, gdyż dochód przeznaczonym był na osady rolne; innych znowu — chęć zdobycia pożytecznych wiadomości, lub to i drugie razem. W każdym razie fakt to wybitny i nader pocieszający.

W dniu 21 b. m. nastąpiło uroczyste otwarcie sceny polskiej w Poznaniu. Przedstawienie amatorskie z którego dochód przeznaczono na rzecz funduszów potrzebnych jeszcze do ukończenia budowy teatru, składało się z trzyaktowej komedyi Józefa Korzeniowskiego „Wąsy i Peruka“ oraz z żywego obrazu „Obrona Trębowli.“

Ziomek nasz p. Wincenty Olewiński były uczeń szkół radomskich, obecnie inżynier centralnej drogi żelaznej szwajcarskiej, znany już z wysokich zdolności jako budowniczy mostu na Renie, łączącego małą Bazyleę z wielką — wynalazł w tych czasach ulepszenie progów pod koleje żelazne, który to wynalazek mocno rząd szwajcarski zajmuje.

A teraz pozwolicie na ustęp z kroniki skandalicznej, z kroniki niesprawdzonych wieści, jakie na naszym kochanym bruczku się rodzą z próżniactwa, manii plotek, istotnej prawdy, i...... z potrzeby zapełnienia szpalt pisma. Za co poczytacie poniższe, zostawiamy wam sąd

lub „*Zemstę za mur graniczny*“—*Fredry*. Nie wspominamy tu już o „*Halce*“, której przedstawienia gromadzą zawsze spore tłumy publiczności. Widzimy więc w ogóle, że p. Grabiński poważnie zapatruje się na sztukę, nie przynęca mniej wybrednej publiczności pustemi a podejrzanej wartości błyskotkami, ale zwolna, usilną pracą i sumiennością, stara się pozyskać względy ogółu.

Ostatni raz widzieliśmy przedstawioną *Matkę-Rywalkę Balzaka*. Pomijając względną wartość tej produkcyi, zwrócimy uwagę szan. Dyrektorowi, że stosownie do pewnych cech zewnętrznych, jakie przedstawia znaczna część artystów prowincyjonalnych męzkiego szczególniej personelu, należy, o ile możności, unikać sztuk salonowych, lub przynajmniej wybierać pomniejsze, gdzieby lepiej przedstawiająca się część artystów wystarczała na obsadzenie ról. Dziwnie niemiłe sprawia wrażenie widok jakiego salonowca wielkiego świata, który ruchami, głosem i całem wzięciem przypomina pewne mniej estetyczne nawyknienia. Orzeczenie to stosujemy szczególniej do p. *Zwolińskiego*, który aczkolwiek nie jest artystą bez pewnych zdolności i wyrobienia scenicznego, winien się jednakże ograniczyć zakresem ról, gdzie pewna nieestetyczność ruchów i głosu nie razi w tak niemiły sposób. Dziwnie bo wyglądał ten artysta w roli prokuratora w wzmiankowanej wyżej szuce. Nie pomogły ani arystokratyczne bakombardy, ani krzyż zasługi zawieszony na szyi, ani cała elegancyja ubrania. Poza powłoką charakterystyki zanadto znać było zewnętrzną indywidualność artysty. Uwagi te, powtarzamy raz jeszcze, nie mają za cel odmówienia p. Zwolińskiemu pewnych skromnych zresztą zasobów zdolności scenicznych. Lecz lepiej, łaskawy panie, ograniczyć się skromnym zakresem, byle tylko należycie spełniać swe zadanie i nie psuć ogólnej harmonii. P. Z. należy zresztą, o ile zauważyliśmy do tego rzędu artystów, którzy szczupły zasób swych zdolności starają się rozwinąć usilną i sumienną pracą. Rola starego Szymona w Łobzowianach była nieźle wykonaną, gdyby nie pewna nienaturalna gdzieniegdzie patetyczność. Ale powróćmy do innych ról wzmiankowanej sztuki. Przedewszystkiem uwydatniła się wielce obiecująca gra młodej artystki *panny Mireckiej*. P. M. wykazała nie małe zasoby zdolności artystycznych, które szczególniej w chwilach silniejszego wylewu uczuć i nastroju dramatycznego porywały serca słuchaczów. Za to sceny nieme wyszły daleko słabiej. Młoda artystka zapomina o tem, że nawet w chwilach milczenia aktorka grać nieprzestaje. Tymczasem p. M. w najbardziej stanowczych sytuacyjach zachowywała marmurowy wyraz twarzy. Przytoczymy tu jedną dla przykładu. Hrabina uwiadamia ją o wyjeździe kochanka do Ameryki. W obecności ojca, przed którym należało ukrywać swe uczucia, biedna dziewczyna musi okazać najzimniejszą obojętność. Lecz walka uczuć, jaka wtedy przebiegła duszę nieszczęsnej, winna odźwierciedlić się na twarzy, sam chłód i obojętność oblicza w inną należało przyoblec cechę. Tymczasem p. M. zachowała się tak, jakby żadna struna uczuć nie zadrgała w piersi dziewczęcia. W ogóle, gra twarzy artystki wiele pozostawia do życzenia. Za to w głosie p. Mirecka posiada spore zasoby uczucia i giętkości, co przy należytem wyrobieniu może ją doprowadzić do świetnych rezultatów. Należy tylko postarać się o nabycie pierwszego warunku, który również jak drugi jest niezbędnym w dziedzinie sztuki dramatycznej.

P. Grabińska w roli tytułowej wykazała właściwą sobie wprawę sceniczną i wiele innych nieocenionych przymiotów. Lecz i jej postawimy w części ten sam zarzut, co p. Mireckiej. W scenach niemych okrutna matka-rywalka za dobroduszną przybierała minę. W ogóle artystka w pewnych chwilach jakby zapominała o charakterze roli swojej. Za to ostatnie sceny, kiedy wściekła burza przywołana niespodzianym gromem, szarpała duszą kobiety, przygłuszając poprzednie porywy namiętności, wyszły w grze p. Grabińskiej znakomicie. W samym tylko końcu nad trupami nieszczęsnych ofiar zbyt spokojnie się zachowała.

P. Swaryczewski był dzielnym jenerałem i starał się ile możności podnieść niewdzięczną, a mimo to ważną w całości rolę swoję. Chwile dramatycznego porywu wychodziły najlepiej. Charakterystyka była bardzo umiejętną.

P. Grabiński w roli kochanka, odznaczał się w gronie innych artystów tymi przymiotami brak których wykazaliśmy powyżej. Szlachetność ruchów i postawy, nadaje wiele sympatyczności grze artysty. Ale pan G. hołduje zwykłej wadzie wszystkich dyrektorów, występuje nieprzygotowany należycie na scenę, co aczkolwiek usprawiedliwia się w części nawałem różnorodnej pracy, wpływa jednakże nader ujemnie na harmoniją scenicznych efektów. Walka potężnych uczuć, jaka częstokroć opanowywała serce Stanisława rzadko uwydatniała się należycie w grze twarzy artysty, która po większej części była też zimną marmurową, aczkolwiek nacechowaną dumą i szlachetnością, właściwą charakterowi przedstawionej postaci. P. G. posiada wiele nieocenionych zdolności artystycznych, które przy zaniedbaniu nietylko się należycie nie rozwiną, ale nawet upadać będą. W dźwięcznym i sympatycznym głosie słychać już pewną niemiłą manijerę. Sądzimy, że szan. Dyrektor nie weźmie za złe tych uwag, które nasuwa nam prawdziwe poważanie dla rzeczywistego jego talentu.

P. Puchniewski coraz bardziej przekonywa nas, że zasób jego zdolności szybko się rozwija i do świetnych dojść może rezultatów. Niech tylko artysta pozbędzie się pewnej, niezbyt zresztą widocznej, patetycznej nienaturalności w głosie.

PP. Sikorski i Kwieciński należycie wywiązali się z drobnych rolek swoich, szczególniej ostatni jako początkujący dopiero artysta, przy wyrobieniu się może stanąć dosyć wysoko.

P. Cierpińska oddała swą małą rolę ze swobodą i uczuciem.

---

swobodny. Relata refero, sprzedajemy cośmy kupili z dobrodziejstwem inwentarza i bez innego z naszej strony dodatku, prócz formy pisarskiej.

Było to...... w Plotkowie. W grodzie tym, którego herbem był młyn mielący co bądź i za jakąbądź podnietą, a gdy niebyło co, to i wiatr mielący — w grodzie tym był kawaler, panna i jej bracia. Kawaler ułożywszy sobie zamiar doprowadzenia, a raczej skierowania odrazu swych afektów do pożądanego skutku przez każdego uwodziciela, *prendre le roman par la queue*, rozpoczyna korespondencyją, bez wiedzy rodziców panny, a za pośrednictwem jej braci, których sobie przejednywa zręcznie. Albowiem występuje jako hrabia Sitcani z wielkim przepychem, w jednym z miejscowych hoteli — rozruca pieniędzmi, podejmuje suto zdechlaczków i gommeux, pożycza im, słowem konkietuje sferę przyszłych swych szwagierków. Jest zaś bogatym z pracy rąk swoich. Stąd potrzeba incognito, a raczej przybrania arystokracyjnej barwy, dla dojścia do zdobyczy, — w zwykłych stosunkach niedostępnej może, *dla dumy arystokratycznej*.

Wszelako tytuł i korona dziewięciopałkowa pokryła wszystko, i jak w ogóle droga cnoty powierzchownej w tej sferze, prawie że jednoczy się z drogą wewnętrznej zgnilizny płci obojga — więc i tu pan Latimer a rzekomy hrabia Sitcani i panna d'Achvas spotkali się w dążeniu. Korespondencyja łatwo się zawiązała, bracia służyli za listonoszów. Tu wieść sama kładzie restrykcyją i ja ją powtarzam.

Gdy Julijusz Cezar przybył do Aleksandryi Egipskiej; Kleopatra, pono piętnastoletnia, więc w pełnej broni i rozwoju swych wdzięków, którym dwukrotne małżeństwo ujmy nieuczyniło, a wdowieństwo niewoli nie kładło, kazała się zanieść zwycięzcy swego państwa w dywanie. Zdumiony Cezar ujrzał z kobierca, któren na karkach przyniósł niewolnik, występującą...... przyszłą matkę Cezaryjona swojego.

Sens moralny tej powieści, że gdyby Cezar niebył Cezarem, Kleopatra niebyłaby do niego przyszła; amor był przychylnym zewnętrznemu blaskowi, upadek distingué w kółku fashionable nie ma w sobie nic zdrożnego..... wedle pojęć pewnej sfery. Niech tam burżuazyja, łyczaki, chłopy inaczej myślą, *nam* wszystko wolno....

Do oburzających niekiedy rozmiarów dochodzi nietylko brak poczucia obowiązku, ale poprostu brak najprostszego uczucia ludzkości u niektórych osobistości, którym ze względu na społeczne stanowisko swoje, należałoby przzodować w tym względzie. Nie rzucamy tu cienia zarzutu na całą klasę, do której należą te indywidua. Wszędzie napotkać ich można, żadna warstwa społeczna nie jest wolną od jednostek, dla których słowa: *obowiązek*, *ludzkość* są pustymi tylko dźwiękami.

Do jednego z reklamowanych lekarzy naszych przybył o godzinie 12-ej w nocy jakiś jegomość należący z pozoru do średniej klasy! Oburzony, że śmią naruszać mu spokój o tak późnej godzinie, zacny eskulap gniewnie przywitał przybyłego.

— Czego pan chce!?

P. Benda jest rzeczywiście artystą sumiennym, pracowitym i odznaczającym się nie małą wprawą sceniczną. Ale fatalna dykcyja psuje niepomiernie cały efekt gry jego. Gdyby p. B. mógł się w jakikolwiek sposób pozbyć tej nieznośnej wady, byłby bardzo pożytecznym dla sceny.

P. Urbański w drobnej roli prezesa komisyi śledczej dowiódł, że gdyby powierzano mu pomniejsze rolki, mógłby, pracując z początku w skromnym zakresie, przygotować się zwolna do wstąpienia na szerszą arenę sztuki, gdzie dotąd nie ma dlań jeszcze odpowiedniego miejsca. W każdym razie zauważyliśmy, że dykcyja artysty była daleko poprawniejszą.

P. Rusecka grała dosyć swobodnie. Ale niestety... nie wyglądała na 9-cio letniego chłopczyka, ani w ogóle na chłopczyka.

Wykazaliśmy już więc zdolności sceniczne wszystkich prawie osobistości z trupy p. Grabińskiego. Zostaje nam jeszcze wspomnieć o *p. Swaryczewskiej*, o której zapomnieliśmy w przeszłem sprawozdaniu. Jest to artystka, odznaczająca się swobodą i wyrobieniem scenicznem. Zwrócimy jej tylko uwagę, że należy lepiej przejmować się rolą swoją i nie przemawiać wiecznie jednostajną nutą. W każdym razie p. S. może być prawdziwie pożyteczną dla sceny.

O innych wybitniejszych zdolnościach mówiliśmy już w poprzednich wzmiankach. Wspomnimy jeszcze o *p. Solskiej* w grze której, obok wykazanego w poprzednim sprawozdaniu talentu, zauważyliśmy jeszcze wybitną dosyć zdolność do lekkich salonowych rolek. Jakaś niemiła tylko manijera w ustach psuje nieco efekt całości.

A. Pilecki.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Tarnów 16 Czerwca 1875

Szanowny Redaktorze!

Ponieważ od czasu do czasu wzywasz nas prenumeratorów o nadesłanie faktów do Twych śladów życia, to może zużytkujesz te tu, które zajmują mocno publiczność galicyjską, pomiędzy którą obecnie przebywam.

Od czasu uwłaszczenia włościan w tym kraju, zabrakło spekulantom obywateli ziemskich, z których się panoszyli, otóż wodą na ich młyn jest teraz ciemnota i niepiśmienność właścicieli zagród, do czego im jeszcze wielce dopomaga, łatwa procedura wekslowa, nieograniczona wcale, tylko do czynności kupieckich. A że w ogóle rolnictwo połączone z przemysłem wymaga rezerwy w gotówce, to też i włościanie dążąc za postępem zaczynają wkłady w celu kultury swych pól, a niemając innego źródła kredytu jak jedynie miasteczkowych Rotszyldów, więc nie ma osady ani wioski, ażeby gospodarze takowych, nie siedzieli w kieszeni takich wyzyskiwaczy bankierów.

Lecz ci posunęli ten wyzysk do tego stopnia bezczelności, że poprostu upatrzywszy sobie ofiarę, wpierają w nią, chociaż ta niepotrzebowała od nich nigdy ani jednego szeląga.

Otóż trzech żydków sfałszowało weksel na pewnego włościanina z Siedlisk, na 500 złotych reńskich, pomimo że ich nigdy na swoje oczy niewidział i ani centa od nich niepotrzebował, a gdy nadszedł czas ekspiracyi wekslu, tak zręcznie obmotali prawnemi formalnościami chłopka, że nawet władze sądowe dopomogły im do egzekwowania niesłusznej należytości. Szczęściem znalazł się ktoś co dopomógł chłopkowi wytoczyć tę sprawę przed sąd przysięgłych w Tarnowie, i otóż tu przytaczam dosłowną przemowę prokuratora rządowego, którą miał w dniu 5 Czerwca.

Mowa c. k. prokuratora w sprawie Juszczyka, przeciw Blajwasowi, Blumenkrancowi i Lichbergowi o fałszerstwo i krzywoprzysięstwo.

Wiele już nieszczęść i nędzy rozsiano po kraju, a mianowicie między wieśniakami, z których nie jeden wyszedł z zagrody dziadów swoich z kijem i torbą, a biura sądowe zawalone są skargami tak, że im rady dać nie można, a wielu jeszcze obywatelom państwa zagraża bodaj, czy nie zupełne zubożenie. Któż tego powodem? Gdzie szukać przyczyny i źródła tego nieszczęsnego a groźnego położenia naszego kraju!?

Panowie! przeważną przyczyną tych nieszczęść tak często dotykających naszych włościan jest *motłoch lichwiarski*, wyzyskujący na każdym kroku i miejscu naszych wieśniaków, i zastarzałe błędy i przywary, ich nieopatrzną dobroduszność. Po czem że poznać ten *motłoch*? tych wyrzutków przynoszących hańbę ludzkości, a przedewszystkiem swoim współwyznawcom? Motłoch cechuje *wstrętna chciwość, chęć zaboru, i niczem nienasycona żądza pieniędzy! nieprzebiera w środkach, nieuważa na uczciwość, zapomina na Boga, nie słyszy głosu sumienia, nie dba o cześć własną, zadaje srom i hańbą okrywa swoję poważną wiarę i religiję! Nie ma litości nad nędzą tych, których przyprowadza do torby żebraczej, byleby tylko pieniądze dostać! Sumienie ich nie wzdryga się przed niczem nawet przed fałszywą przysięgą*, jak to panowie widzicie na tych zbrodniarzach, którzy wyczekują na wasz sędziowski, a więc sumienny i sprawiedliwy wyrok.

Nie raz widziałem przed kratkami trybunału zabójców, którzy przecież pomimo dokonanej zbrodni, obudzali współczucie; nigdy zaś niedoświadczyłem tego, aby lichwiarz i oszust potrafił zyskać sobie przychylność, bo ten rodzaj zbrodniarzy wywołuje tylko wstręt i odrazę!

Panowie przysięgli! oto takich zbrodniarzy macie przed sobą! Opinija publiczna wyprzedziła wasz wyrok, głos publiczny już ich tak ocenił, jak sobie zasłużyli; oburzenie przeciwko ich strasznej zbrodni, wszystkich przejmuje zgrozą, bo to nie *ludzie ale potwory*!

— Panie na litość, spiesz, bo dziecko mi umiera.

— O tak późnej godzinie nie zwykłem odwiedzać chorych. Mam na to czas ściśle ograniczony.

— Ależ panie, tu idzie o życie dziecięcia!

— Dobrze, jeżeli pan dasz 25 rs. za wizytę to pójdę.

— Nie jestem tak zamożny, ażebym mógł ofiarować tak wysoką sumę!.

— No to nie nudź mnie pan!

Doktór ukazał się nieubłaganym i dopiero energiczna i niezbyt wybredna zachęta nieszczęśliwego ojca zmusiła go do udzielenia pomocy dziecięciu.

Fakt sam dostatecznie za siebie przemawia!

W dniu 13 czerwca r. b. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie obchodziło piędziesięcioletni jubileusz swego istnienia. Na zewnątrz skromnie bo jedynie przez nabożeństwo kościelne święcąc rocznicę półwiekowej zacnej i pożytecznej dla kraju działalności swojej; Zwierzchność Towarzystwa zaznaczyła przecież rok ten faktem, godnym instytucyi i tych jej sterników, co w całym długim lat szeregu, składali zawsze dowody rozumnej dla ogólnego dobra działalności. Umiejętny oto zarząd pozwolił Towarzystwu Kredytowemu znaleść się w posiadaniu znacznego kapitału zarobkowego, część więc z tych oszczędności, w bieżącym właśnie roku użytą została, na wykup z lichwiarskich szponów urzędników Towarzystwa, którzy skutkiem przeróżnych okoliczności, popadli w to położenie okrutne. Pożyczka w ten sposób pracownikom udzielona, wróci do kasy Towarzystwa przez potrącenia z płac miesięcznych, nie zmniejsza to atoli doniosłości dobrodziejstwa; inna rzecz bowiem dług względem władzy, inna dług u lichwiarza. Wrócić spokój i szczęście kilkudziesięciu rodzinom — to znaczy uczcić godnie co się nazywa, piędziesięciolecie swoje.

P. Gracyjan Unger wydawca Tygodnika Ilustrowanego i Wędrowca przystępuje do współki w wydawnictwie pisma humorystycznego *Mucha*.

P. *Kazimierz Promyk* autor czterogroszowego „Życiorysu Staszica“, wydał również tani *Elementarz ścienny*. Jest on ułożony w ten sposób, aby dzieci spoglądając nań codziennie, mimowoli biernie zapamiętywały widziane tam znaki. Dla tego też w kilku poziomych kolumnach umieszczone są samogłoski znakami różnej wielkości. Następnie w pionowych kolumnach mieszczą się pojedyńcze samogłoski do których z obu stron poprzyczepiane są różne spółgłoski, aby dziecko zauważyło podobieństwo i różnicę znaków i brzmień. Wreszcie przy tych kolumnach znajduje się po kilka sylab pojedyńczych lub złożonych w wyrazy. Tym sposobem dziecko w krótkim czasie może zapamiętać wszelkie kombinacyje dźwięków. Za tak tanie a pożyteczne wydawnictwo szan. autorowi serdeczna należy się podzięka.

W czemże leży ich zbrodnia?! Słyszeliście to panowie przysięgli w toku rozprawy! Ta szajka zbrodniarzy wybiera sobie ofiarę swojego oszustwa w osobie Juszczyka, który jest człowiekiem bogobojnym, pracowitym, uczciwym a nawet szlachetnym, bo wspierał nietylko swoich sąsiadów, ale nawet *żydom* pożyczał pieniądze bez procentów, jedynie tylko z miłości bliźniego. Otóż tego zacnego człowieka napadają ci zbrodniarze, gorzej niż rabusie, i gdy się niczego nie spodziewa, zastawiają na jego zgubę piekielne sidła. Ten J. miał wszelkie prawo żądać od państwa obrony i opieki, bo jeżeli każdy obywatel kraju ma prawo do opieki rządu, to tem bardziej chłopek, bo lud wiejski jako najliczniejszy, stanowi główną podporę kraju. Czy J. znalazł ową opiekę i obronę. Niestety nie! Dla czego nie? oto dla tego, że oszuści matactwem, niepraktykowaną bezczelnością i fałszywą przysięgą tak osłonili swoję zbrodnię, że sądy w błąd wprowadzone nie mogły wykryć prawdy, i pozór oszustwa zaciężył nie na prawdziwych zbrodniarzach, jeno na niewinnym Juszczyku. Panowie przysięgli wyobraźcie sobie zgorszenie całej gminy w Górce, które stąd wynikło! Juszczyk uchodzący dotąd za poczciwego i nieposzlakowanego człowieka, chce Blajwajsa o 945 reńskich pokrzywdzić!... bo jużciż żądania Blajwajsa są słuszne, kiedy je c. k. sąd wyrokiem zatwierdził!... bo nawet zjeżdża z ramienia sądu, egzekutor Gelbwaks w asystencyi żandarma i przeprowadza urzędownie grabież na majątku Juszczyka. Ci którzy pomimo to wszystko wierzyli jeszcze w uczciwość Juszczyka, musieli utracić wiarę w sprawiedliwość ludzką, w sprawiedliwość sądów! Co za zgorszenie!

Prawda jednak zwyciężyła, sam Bóg chciał tego, aby zachwiane zaufanie do sądów publicznych podnieść, i godność należną sądom przywrócić, a stało się to w ten sposób: Blajwajs przy niecnych praktykach lichwiarskich, które mu się na innych ofiarach zupełnie powiodły zanadto zaufał swojej przebiegłości, bo powodzenie go zaślepiło. Ale *kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze*, powiada nasze przysłowie i prawdziwość jego na tym oszuście się sprawdziła. Chciał on niesumiennie zbrodnicze wyzyskiwanie prowadzić na szerokie rozmiary, t. j. chciał oszustwo swoje tak wysforować, ażeby na drodze pozorowo legalnej, pod zasłoną praw obdzierać na to obrane ofiary. W tym celu organizuje szajkę z czterech opryszków i rozdziela role: sam Blajwajs jako najbogatszy jest duszą tego zacnego stowarzyszenia, on daje pieniądze, on wydaje rozkazy czeladnikom zbrodni. Lincberg, jako włóczęga wałęsając się ze wsi do wsi, od chaty do chaty wyszukuje ofiary, i rzuca takowe na pastwę mistrzowi zbrodni Blajwajsowi. Blumenkranc podrabia weksle, a gdyby okazała się potrzeba, to wraz z Lincbergiem zaprzysięgają fałszywe zeznania; Lustberg nareszcie prowadzi egzekucyją. Ten ostatni uniknął na teraz sprawiedliwości sądu.

Panowie przysięgli! takie straszne zbrodnicze szajki potworzyły się w całej Galicyi: nie tylko Tarnów wychował Blajwajsa; jemu podobni, cały kraj nasz osnuli jakby pająki, siatką groźną podstępów i oszustwa. Popatrzmy na powiaty: Żabno, Dąbrowa, Dembica, Sokołów, Rozwadów i Tarnobrzeg, iluż tam gospodarzy wywłaszczonych zostało przez te zupełnie zorganizowane szajki!? Jeszcze raz powtarzam panowie: całemu państwu zagraża niebezpieczeństwo, bo jeżeli tak dalej pójdzie, to w bliskiej przyszłości, nie będziemy mieć włościan, stan ten zaginie, a w jego miejsce będziemy mieli *nędzarzy*! Nie mogę tego zamilczeć, nie mogę tego przenieść na sobie, abym nieupomniał przed zagrażającem zubożeniem całej warstwy narodu, t. j. włościan. Do tego wywłaszczenia systematycznego pomaga oszustom z motłochu żydowskiego, zniesienie paragrafu 217 d, który zabrania żydowi złożyć świadectwo przeciw chrześcijaninowi na korzyść żyda. Gdyby ten paragraf istniał do dziś dnia, Blajwajs niebyłby tak zgnębił i znękał Juszczyka. Wierzajcie mi panowie, że się cieszę z równouprawnienia żydów, ale cóż, kiedy część znaczna tychże, właśnie ten *motłoch lichwiarski*, tak nadużywa równości praw, że równouprawnienie stało się u nich środkiem do haniebnego oszustwa. Patrzajcie panowie na Blajwajsa i jego współzbrodniarzy, równouprawnieniem chcieli zniszczyć poczciwego kmiotka — *motłoch lichwiarzy* w taki sposób korzysta z pełności praw obywatelskich.

Inną klęską naszych włościan są pisarze pokątni, którzy bardzo płodni w koncepta i projekta, wspierają oszustwa. Iluż ich jest w samym Tarnowie!?

Z boleścią, żalem i smutkiem muszę i to jeszcze nadmienić, że nawet niektórzy adwokaci pomagają do oszustw bezwiednie. Oto obecny tutaj obrońca p. Dr. Ringelhajm podał rękę oszustwu chociaż bezwiednie, ale zawsze nieopatrznie. Ja wiem że adwokaci powinni postępować inaczej. Jeżeli adwokat—jak to zrobił p. obrońca Ringelhajm—przenosi *pozornie* weksel na trzecią osobę, jeżeli te trzecią osobę podpisuje!!! Panowie są to tak straszne i potworne rzeczy, że je tylko ten zrozumie, kto się zbliska przypatrzy zbrodni, która obecnie rozstrzyga się przed wysokim trybunałem. Takie postępowanie, jakie sobie pozwolił p. Dr. Ringelhajm, odbiera poszkodowanemu możność obrony. Gdybym był adwokatem, wyrzuciłbym Blajwajsa za drzwi za samo żądanie czynności, którą wykonał p. Dr. Ringelhajm. Inny adwokat w obec trybunału nie sromał się wypowiedzieć, że głodnemu kraść wolno, dla tego że głodny... Takie niemoralne zasady zgrozą przejmują!

W obec takiego stanu rzeczy należy podnieść i to, że sądy nieznając tajemnych chodników szajki zbrodniczej, i nieprzypuszczając nawet oszustwa tam, gdzie czynności przygotowane były pozornie legalnie okazują zbyteczną pobłażliwość, jak to widzimy w niniejszym procesie: Juszczyk robi zarzuty, pomimo to przegrywa proces w dwóch instancyjach, a Lustberg fantuje Juszczyka. Tak to panowie! zbrodniarze potrafili nawet c. k. sądy w błąd wprowadzić?

Te są główne przyczyny z ubożenia włościan, bo szajka Blajwajsów grasuje w całym kraju. Obowiązkiem rządu jest: zbrodniarzy wyszukiwać i sądom do ukarania oddawać.

Jako prokurator postawiłem przed wysokim trybunałem szajkę oszustów. Panowie! usuńcie oszustów i zbrodniarzy, a nie będzie zbrodni, ścigajmy oszustów, a uczciwość zapanuje. Wykonywając świętą sprawiedliwość, nie oglądajmy się na to, że oszust *nas błotem obrzuci, Boga wezwie fałszywie, sprawiedliwość ludzką podejdzie, a będąc zbrodniarzem, udawać będzie prześladowanego, karę zemstą nazwie.*

Panowie przysięgli! W waszem ręku spoczywa berło sprawiedliwości, macie sądzić bez uprzedzenia, w obec Boga i sumienia. (Tutaj skreślił p. prokurator cały przebieg rozprawy i czyn zbrodniczy). Macie więc dowody jasne jak na dłoni, a oparci na nich i własnem sumieniu, wydajcie wyrok sprawiedliwy!

O to takim sposobem z woli Boga wydobyła się zbrodnia na wierzch jak oliwa, a panowie przysięgli — między którymi był także jeden Izraelita — wyrzekli jednozgodnie: *winni*! i zasądzono nieodwołalnie dwóch zbrodniarzy na 7 lat a jednego na 6 lat ciężkiego więzienia.

Drugim faktem zaś jest następujący:

Tygodnik Illustrowany wspomniał w swojem piśmie o księżnie Inflandzkiej z domu hr. Krasińskich, której córce poślubionej jednemu z arcyksiążąt panującej rodziny w Austryi, cesarzowa Maryja Teresa, nadała jako prezent ślubny starostwo Myślenice i Kasztelanią Izdebniki w Zachodniej Galicyi. Obdarowana owdowiawszy bezdzietnie zamieszkała w Paryżu nabywszy znaczne dobra we Francyi. Pewnego razu jadąc na spacer, była narażoną na utratę życia przez rozbieganie się koni, gdyby przytomność i poświęcenie się wi- *docznie jej koniuszego, który przy tej okazyi* złamał nogę — nie wyratowały ją z nieuchronnego niebezpieczeństwa. Wywdzięczając się wdowa księżna, oddała swemu wybawcy rękę, a wspaniałomyślny monarcha Francyi za czyn tak szlachetny nadał mu tytuł księcia Montelair. Z tego stadła pozostało dwoje dzieci: syn i córka. Wspomniany książe Montelair wcześnie owdowiawszy, oddał córkę do klasztoru z przeznaczeniem, ażeby tam do końca życia pozostała, ale gdy ta ze zmartwienia popadła w melancholiją, ojciec odebrawszy ją z klasztoru obsadził w domu obłąkanych. Po śmierci starego księcia syn tegoż Maurycy objąwszy całą spuściznę po rodzicach, która nieograniczała się jedynie na dobrach w Galicyi i we Francyi, bo jeszcze do tej należały znakomite sumy gotówki w banku londyńskim — nic niewiedział że ma rodzoną siostrę. Przypadkiem poznaje nieszczęśliwą ofiarę despotycznej samowoli ojcowskiej, książę Lubomirski z Przeworska, ujmuje się za nią, nieszczędzi wydatków i wygrywa proces, w skutek czego księżniczka będąc przypuszczoną do równego podziału z bratem do spadku po rodzicach, otrzymała z dóbr w Galicyi położonych starostwo Myślenickie.

Otóż przed parą tygodniami, chcąc się księżniczka wywdzięczyć swemu szlachetnemu protektorowi i wybawcy, który z żalem ogólnym niedawno zgasł na suchoty zapisuje darowiznę i oddaje natychmiast rodzinie księcia Lubomirskiego całe starostwo Myślenickie. Sama zaś ta zacna dama zakupiwszy ościenny majątek Zawadę i Krzyszkowice od Szembeków, zamieszkuje tamże i jest dobro-

czynnym aniołem całej okolicy Podkarpackiej albowiem 70 młodzieży w Krakowie, a 40 w Myśleniach, utrzymuje swoim kosztem w szkołach. Mając około 50 lat i żyjąc samotnie, zamiłowaną jest do — koni; co dzień jeżeli pogoda służy, jeździ z rana jednym, a popołudniu na innym wierzchowcu, utrzymując takowych znaczną ilość, karmiąc swe pieszczochy cukrem, nadto nadmienić tu muszę iż wchodzi we wszelkie szczegóły gospodarstwa i administracyi dóbr, z niezwykłą w kobietach znajomością i energiją.

Każdy człowiek posiada swoje słabostki, i ta też pani ulega wielu w sposób ekscentryczny ale zawsze szlachetny, o których możnaby było gruby zeszyt anegdot nakreślić, ale wszystkie nacechowane szlachetnością, zacnością i dobroczynnością; jest to raróg czyli feniks w naszych czasach materyjalizmu dla czego myślę, że nieuchybię tej cnocie, jeżeli za pośrednictwem waszego organu dam do publicznej wiadomości te dwa zdarzenia całą Galicyję zajmującą.

Z uszanowaniem.

B. Os.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Ale za to aloes umyślnie skrzywiony albo cięcia porobione nożem na soczystem liściu kaktusa, były nam przewodnikiem najlepszym.

Musieliśmy jechać daleko prędzej niżeli poprzednio przewodnicy nasi, bo lubo świeże były oznaki ich pochodu, były przestrzenie wyschłe lub pokryte kamieniami, potrzebowali więc czasu aby na nich widoczne porobić wskazówki.

Co do mnie podczas podróży wytrzeszczałem ciągle przed siebie oczy, szukając Ruba i Gareja z gorączkową niecierpliwością.

Były jednakże chwile w których obawiałem się ich dopędzić, obawiałem się usłyszeć tego co mi zwiastują.

Gdyśmy już z mozołem wielkim z pięć mil dobrych zrobili przez tę straszną pustynię, uczułem w oczach dziwnie jakoś dotkliwe kłucie i przypisywałem to z razu bezsenności.

Moi towarzysze zaczęli się wkrótce na to samo uskarżać a gdy jeszcze trochę posunęliśmy się dalej, znaleźliśmy rzetelną przyczynę biedy—spostrzegłszy że w powietrzu pełno było dymu.

To dym tak szczypał nas w oczy.

Mieszkaniec stepu nie przyjmuje nigdy obojętnie podobnego zdarzenia. Skoro jest dym musi być i ogień, a przy ogniu niebezpieczeństwo ogromne.

Las palący się można ominąć i z boku tylko przypatrywać się spokojnie widowisku, ale przed pożarem na stepie, niepodobna umknąć prawie.

Stepy niską trawą porosłe nie mogą się prawie palić, tlą się tylko raczej, to też ludzie, bawoły i antylopy, mogą łatwo uciekać skakając przez płomień a jedne gadziny chyba, bywają w tym przypadku ofiarami.

Co innego na stepach o wysokich trawach lub porosłych wysokiemi łodygami roślin poplątanych jeszcze ze sobą tysiącem pnących się powoi.

W czasie suszy gdy ogień wznieci się pomiędzy roślinnością tego rodzaju, niebezpieczeństwo jest wielkie, zawsze bodaj kończące się śmiercią.

Nas dym gryzł w oczy, więc go ogień musiał powodować.

Postępując coraz dalej zauważyłem wyraz trwogi wielkiej na twarzach moich towarzyszy, chociaż do ognia musiało być bardzo jeszcze daleko.

Im bardziej posuwaliśmy się naprzód tym trwoga owa groźniejsze przybierała rozmiary.

Nie było już nad czem myśleć, dym zgęszczał się do około nas, zasłonił nareszcie niebo a oczy coraz nas silniej bolały.

— To lasy się palą! zawołał Stanfield.

Stanfield był starym leśnikiem, to też myśli jego zawsze się około lasu kręciły.

Czułem że ogień nie bardzo już od nas daleko. Spostrzegłem białawy popiół spalonych liści padający do koła, a po nieznośnym bólu jaki nam dym sprawiał, rozumiałem, że nie musiał pochodzić z daleka skoro się gaz odeń nie oddzielił jeszcze.

Z resztą niepokoiła mnie nie przestrzeń dzieląca nas od ognia ale kierunek w jakim się ogień znajdował.

Wiatr dął nam prosto w twarz, a dym leciał z wiatrem. Pożar był zatem naprzeciwko nas i w kierunku śladu za którym dążyliśmy właśnie.

Dym stawał się coraz gęściejszy, niebo oświetlała złowroga łuna, zdawało mi się że słyszę trzeszczenie płomieni... Powietrze było suche, duszność jakaś ściskała nam gardła, tamowała oddech, tak iż musieliśmy szeroko otwierać usta, aby odetchnąć swobodniej.

Nagle zapanowała tak straszna ciemność, iż straciliśmy ślad zupełnie.

Towarzysze byli zdania, iżby się zatrzymać, popędzałem ich jednakże do prędszego marszu. Zachęcałem ich głosem i przykładem lecąc ciągle naprzód, bo nie miałem serca zaprzestać pogoni.

W obec tego wszystkiego gdzie był Rube i Garey?...

Jechaliśmy długo i prędko powinnibyśmy być już bardzo od nich blisko, niepodobna aby nas wyprzedzili tak znacznie.

Wołałem na nich biegnąc.

— Hop!—hop!—odpowiedziano mi naraz.

Poznałem głos Gareja popędziliśmy w tę stronę.

Droga prowadziła na polankę leśną, w środ ku której mogliśmy dojrzeć po za dymem ludzi i konie!

Jak niespokojnym wzrokiem przypatrywałem się tej grupie. Jedno spojrzenie było dostateczne, nie było tam nikogo więcej jak dwóch ludzi i dwa konie, nikt inny oprócz traperów moich.

ROZDZIAŁ LXII.

Pragnienie i dym.

— Ah! panie Rube! krzyknął Kanadyjczyk gdyśmy się do nich zbliżali, skąd tu tyle dymu u dyjabła, czy to las się pali?...

— Las?... burknął Rube pogardliwem spojrzeniem na Francuza. W tej stronie nie ma lasu. To step się pali, czy nie czujecie woni palącej się trawy!...

— Niepodobna!... doprawdy... to step!... Czyś tego pewny panie Rube kochany?

— Czym pewny? odpowiedział oburzony strzelec, czym pewny!... przeklęty głupcze, ty może myślisz że się nie znam na zapachu palącego się stepu?

— A niech Bóg broni! przepraszam cię panie Rube kochany—ja chciałem tylko zapytać czy ogień nie zajął już drzew w lesie.

Rube trochę udobruchany odpowiedział:

— To nie las się pali—nie obawiaj się—jesteś tutaj zupełnie bezpieczny.

To zapewnienie uspokoiło nie tylko Kanadyjczyka ale i wszystkich innych...

Co do mnie i poprzednio nie miałem obawy o nasze bezpieczeństwo osobiste, nie o tem wcale myślałem.

Zaledwie zwróciłem uwagę na żywą rozmowę Ruba z Kanadyjczykiem, gdy Garey przybiegł do mnie i rozpoczął opowiadanie.

Opowiadanie nie trwało długo.

Rube i on jechali za śladem białego konia aż do miejsca w którem ślad ten z lasu prowadził na rozległą łąkę. Miejsce w któremeśmy się znajdowali było tuż przy skraju lasu. Puścili się na step i ujechali spory kawał lecąc ciągle naprzód, gdy ku wielkiemu umartwieniu swemu spostrzegli iż łąka pali się tuż obok nich prawie! Wiatr niósł tumany płomieni i dymu z szybkością konia pędzącego galopem, to też z biedą nie małą, zdołali umknąć przed grożącem niebezpieczeństwem, zmykając co sił do lasu.

A z białym koniem co się też stało? czy starzy strzelcy nie wiedzieli o nim?

Tego pytania nie byłem wymówić w stanie; zadawałem więc go oczami tylko i tąż samą drogą odbierałem odpowiedź. Odpowiedź sądząc po zasmuconych postawach traperów, bardzo niekorzystna była.

Zmuszeni jesteśmy tedy zatrzymać się na miejscu bo dym nie pozwalał posuwać się dalej, a wkrótce dochodzi nas trzask palących się łodyg, niby nieustający ogień karabinowy.

Od czasu do czasu wystraszony daniel przemykał jak błyskawica w zaroślach, potem gromadka antylop ucieka na polankę i zatrzymuje się tuż przy nas.

Biedne stworzenia nie wiedziały w którą się stronę obrócić. Za antylopami sunęła gromada wilków stepowych, która również zatrzymała się opodal a dalej przybył jeszcze czarny niedźwiedź i tygrys i wszystko to cicho i

spokojnie stało obok siebie, niby przyjaciele najlepsi.

Ptaki ze swej strony na gałęziach przenikliwe wydawały okrzyki, orły to samo czyniły w powietrzu a czarne sępy unosiły się nad dymem nie myśląc wcale o zdobyczach.

Jedna tylko rzecz nie dała się porwać ogólnemu pomieszaniu a to instynkt strzelców moich.

Byli głodni zabili więc niedźwiedzia.

Obie ofiary obdarto wkrótce ze skóry, poćwiartowano w kawały a następnie rozłożono ogień na polance i zaczęło się pieczenie na pałaszach służących zastępczo za rożny w obec oczywiście tysiąca przy tem konceptów i żarcików z kuchni, której komin dymił tak okropnie.

Że i sam głodny byłem, wziąłem udział w biesiadzie, tylkom nie podzielał wesołości ogólnej. W tej chwili najdowcipniejsze słówko nie wywołało by na moich ustach uśmiechu, najwykwintniejszy stół by mi nie smakował.

Pragnienie bardziej jak głód dokuczało wszystkim a mnie w szczególności.

Długa uciężliwa jazda konna zmęczyła nas ogromnie, dym połączony z suszą rozpalonej atmosfery, zwiększał jeszcze pragnienie.

Po tym jakiśmy przebyli nie spotkaliśmy ani jednego strumyka, strzelcy nie napotkali także ani jednego w drodze którą przebywali, byliśmy więc w pustyni bezwodnej a to, położenie nasze czyniło nie podobnem prawie do zniesienia.

Kilku z ludzi ssało kule albo kamienie, inni pili krew zabitych zwierząt, aż nareszcie soczyste łodygi kaktusów i agawy, ożywiły nas trochę.

Ale orzeźwienie to nie starczyło na długo, sok rośliny odwilżył nam nieco usta i języki, znajdujące się jednak w niektórych roślinach pierwiastki gryzące, nie omieszkały skutkować tak dobrze iż niezadługo jeszcze bardziej pić nam się zachciało.

Byli tacy co proponowali aby zawrócić za śladem i szukać wody, czyli powrócić do rzeki od której byliśmy już o jakie dwadzieścia mil, a w okolicznościach podobnych karność nawet wojskowa traci swoje prawo, bo natura silniejszą jest od dyscypliny.

Ta rejterada nie wiele mnie obchodziła, nie obchodziło mię także że mnie mogą towarzysze opuścić, a to do chwili przynajmniej, dopóki dwaj traperzy wiernemi mi pozostaną.

Co zaś do nich o odstępstwie mowy nie było a zresztą opór mój powstrzymał opłakany projekt i wszyscy zgodzili się na nowo, prowadzić dalej poszukiwania.

Na szczęście dym zaczął się przecie rozchodzić, powietrze stawało się znośniejsze.

Ogień wypalił wszystko aż po sam koniec lasu a tu się zatrzymał pochamowany przez gęstwinę drzew soczystych.

Wsiedliśmy na konie, wyjechali z polanki a jadąc za śladem widocznym ciągle, wydostaliśmy się nakoniec z zarośli i stanęli szczęśliwie na skraju spustoszonego stepu.

ROZDZIAŁ LXIII.

Step spalony.

Ziemia nic nie ma okropniejszego i straszniejszego nad widok spalonego stepu.

Pieniące się bałwany oceanu, zwiędła od słońca roślinność, kraj płaski, błotnisty podczas nagłej odwilży, wszystko to wywiera na patrzącego uczucie zimnej jednostajności: ale przynajmniej woda się porusza, zwiędła roślinność ma jakieś kolory a płaszczyzna na pół rozmokła, przedstawia rozmaitość pewną. Inna rzecz ze stepem spalonym — tu nie ma ani kolorów, ani formy, ani poruszenia; wzrok błądzi napróżno po tej nieskończonej równinie, nuży się i serce ściska. Niebo nawet przybiera pozór jakiś smętny, przyciemnione odbiciem czarnej powierzchni gruntu, a może to wzrok tylko odurzony czarnością nie pozwala widzieć jasnego niebios sklepienia.

Step pokryty zielenią nie zawsze rozwesela oko, choćby był nawet najpiękniejszemi umajony kwiatami. Przebywałem płaszczyzny podobne i zawszem wzdychał za jakimś przedmiotem co by się oczom moim ukazał, coby przerwał tę ogólną jednostajność, tak samo jak wzdycha żeglarz na okręcie za ziemią, i napawa się widokiem trawy pływającej po morzu.

Kolor nie jest dostatecznym dla zadowolenia umysłu, bo oko prędko się nuży.

Łąka kwiecista lubo piękna w swoich różnobarwnych kolorach, opatruje się w krótce i oko tęskni do ruchu do życia.

Trudno sobie wyobrazić straszliwą jednostajność jaką przedstawia step skoro ogień wszystko na nim w popiół zamienił.

Ogień wygasł, dym już nawet przestał się unosić, wyjąwszy w miejscach w których resztki wyziewów wydobywały się ze zwilgoconej ziemi, ale na prawo i na lewo po same krańce horyzontu równina zdawała się być pokrytą ogromnym krepowym całunem.

Straszna teraz panowała dokoła cisza, zdawało się że wymarło do szczętu wszystko.

W innych okolicznościach możebym chętnie się podobnej scenie przyglądał, chociaż nie zachwycał bym się nią, bo na pustyni bez końca, nie ma nic zachwycającego, nie ma nic coby dziką swoją uderzało grozą. W tej zresztą chwili żaden zgoła widok nie rozerwałby jedynej mojej myśli...

Strzelcy zrobili już kawał drogi i zbliżali się do połowy stepu, ukryci w tumanach czarnego kurzu, jakie podnosiły ich konie.

Czas jakiś jechali w prostej linii nie mając potrzeby szukania śladów białego konia, bo przed pożarem postępowali za nim, znali więc kierunek w jakim postępował.

Zauważyłem atoli wkrótce że znacznie zwolnili kroku i idą mając oczy wlepione w ziemię jak gdyby ślad zgubili.

Zwątpiłem czy w takim razie odnaleść go potrafią, bo płytkie odciśnięcie kopyt zwierzęcia musiało zniknąć pod pokryciem ze szczątków spalonej trawy.

Ale dla dzielnych traperów, odnalezienie drogi właściwej, nigdy trudnem nie było.

Jakoż zauważyłem, że po chwili mieli już czego szukali, puścili się więc w dalszą drogę.

Co do mnie nie mogłem nic zobaczyć więcej jak niewielkie wklęśnięcia zaznaczone gdzie niegdzie i gdyby mi nie powiedziano co to było, nie poznałbym się nigdy sam na tem.

Step był ogromny, zdawało nam się że jesteśmy już na środku, zobaczyliśmy na jak wielkiej ogień rozszerzył się przestrzeni.

Prawie na pół drogi, w miejscu w którem trudniej jakoś ślad rozpoznać było, zrobiliśmy mały przystanek aby mieć czas na rozpatrzenie się i zoryjentowanie.

Zaciekawiony chwilowo, spojrzałem do okoła. Obraz był straszny. Nie było już nawet kolczastego lasku na którym teraz chętnieby, wzrok odpoczął trochę, zniknęło wszystko i jak okiem rzucić, rozciągał się step spalony.

Gdybym był sam mógłbym śmiało w to uwierzyć, iż zamarł cały świat Boży.

Wlepiwszy wzrok w te nieskończone ciemności zapomniałem na chwilę o moich towarzyszach i wpadłem w rodzaj letargicznego osłupienia. Wyobraziłem sobie, że nie żyję, że śnię tylko przeniesiony do piekła.

Głos towarzyszów przywołał mnie do przytomności, odnaleziono ślad, więc się potrzeba zbierać do drogi.

ROZDZIAŁ LXIV.

Rozmowa.

Spiąłem konia i wkrótce dopędziłem traperów, a nie zważając na ogromny kurz czarny jechałem za dwoma przewodnikami i przysłuchiwałem się ich rozmowie.

Te dzieci gór, bo się tak sami z dumą nazywali, oryginalni byli pod każdym w ogóle względem.

Nie cierpieli wypowiadać swoich zamiarów a jeżeli do mnie mówili o nich bardzo mało, tem mniej odzywali się do wszystkich innych z oddziału uważając ich za blanc-beków, bo tak nazywali tych, którzy nie byli jak oni obyci z wędrówkami po rozległych stepach.

Chociaż Stanfield i Black byli leśnikami i strzelcami z rzemiosła, chociaż Quakenboss strzelał doskonale; Leblanc był podróżnikiem a inni mniej lub więcej także lasów świadomi, dla Ruba i Gareya byli młokosami niedoświadczonemi.

Żeby coś znaczyć w ich opinii potrzeba było ażeby człowiek konał z głodu na pustyni, żeby ścigał bawołu na brzegach żółtego kamienia lub La Platty, dwu sławnych rzek wśród stepów, aby się bił z czerwono skórnemi, strzelał do Indyjan z karabina, był bliskim utraty skóry z czaszki — włosów i uszów, powinien był przebyć zimę w miejscu nazwanem Dziurą Piotra na rzece Zielonej, albo obozować w śniegach gór skalistych! Trzeba było koniecznie spełnić mniej lub więcej tych czynów, ażeby zająć wydatniejsze miejsce pomiędzy ludźmi z gór.

Z całego oddziału ja jeden nie byłem blancbekiem w oczach Ruba i Gareja, a chociaż prostego amatora tylko, cenili mnie jako osobitość godną zaufania ich w zupełności.

Co do mnie przyznaję otwarcie iż pomimo klasycznego wykształcenia, pięknej wymowy, dzielnego konia i świetnego munduru, dopóki tylko znajdowaliśmy się wśród stepów, czułem bezwzględną wyższość tych ludzi.

Kiedy ich dogoniłem nie zapytałem wcale o to co dalej myślą robić, bo obawiałem się odpowiedzi spostrzegłszy w oczach oznaki zniechęcenia wielkiego.

Ale że tuż za niemi jechałem, zdawało mi się że nareszcie twarze ich rozjaśniły się promieniem słabej jakiejś nadziei.

(*d. c. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Wuj Damazy. Szkic z natury — skreśliła ciotka Marynia. Warszawa. Nakładem i drukiem Aleksandra Pajewskiego 1874 r. str. 64 in 12-o cena kop. 30.

Uwydatniona jasno tendencyjność nadaje temu utworowi pewną oryginalną cechę. W głównej postaci widzimy uosobienie tych wad natury ludzkiej, które, krępując wszelkie usiłowania dłonią niemocy, nie dozwalają podążać do najprostszych celów życia. Zaznaczyć przedewszystkiem musimy, że cele, wykazane przez autorkę, nie wychodzą nigdy z zakresu egoistycznych dążności, nie wprowadzają szerszego interesu społecznego. Wuj Damazy to prosty śmiertelnik, którego wzrok nie sięga dalej nad pragnienia własnego szczęścia. Okoliczność ta, ujmuje wprawdzie utworowi donioślejsze znaczenie lecz jako skromny psychiczno-obyczajowy szkic może on posiadać pewne artystyczne, a nawet i społeczne znaczenie, które zresztą w dalszym ciągu postaramy się bliżej wyjaśnić i wykazać.

Psychicznemi wadami, które we wszystkiem stoją na zawadzie poczciwemu z gruntu bohaterowi tej powiastki, jest niezaradność, lenistwo i przesąd. Przyczyny ich tkwią w wychowaniu, które od najpierwszych dni młodości było błędnem zupełnie. Pod nieumiejętnem kierownictwem kochającej matki, w szczęściu i dostatkach płynęły dni jego dzieciństwa. Nic więc dziwnego, że w zniewieściałej duszy nie mógł się wyrobić hart i energija męzka; czułe, miękkie i łatwo wzruszające się serce miało zastąpić te niezbędne w walce życia przymioty. Dalej, na zaniedbanem polu umysłowości nie mogły zakwitnąć błogie, pokrzepiające ducha owoce. Powierzchowna ogłada towarzyska nie zastąpiła prawdziwych przymiotów umysłu i serca. Tak więc, nie umocniony chryzmatem potęgi, wszedł bohater powieści na śliską drogę życia. Sądzisz zapewne czytelniku, że oczekiwała go tam walka, z nieubłaganą siłą losu, sądzisz że autorka postawiła go w sytuacyje, w obec których musiałby rozwinąć wszystkie siły ducha. Broń Boże!— Prawda, wuj Damazy nie mógł się zapatrywać tak poważnie na życie, aby dojrzeć w niem celu, ku któremu na skrzydłach potęgi ducha wzlatać należy. Jakeśmy już wyżej zaznaczyli, jest on prostym śmiertelnikiem, dla którego drobne cele życia w zupełności wystarczają. Należałoby go więc może wprowadzić w takie sytuacyje, w których i owe najprostsze dążenia w obec bezsilnych usiłowań zadowolnionemi być nie mogą. Sytuacyje te mogły być zresztą najprostsze, nie przekraczające zupełnie granic najpospolitszego tła powszedniego żywota. Zobaczmy też, w jakiej formie przedstawiają się one w utworze szan. autorki. Na drodze życia wuja Damazego staje jakby okryta szatą tajemniczości postać, która zawsze wyprzedza jego niedołężne kroki i wprzód staje u upragnionego wspólnie celu. Postać ta uosabia w sobie wszelkie przymioty, wprost przeciwne wadom naszego bohatera. Pomijając pewną nienaturalność, w jakiej przedstawia się ta sprężynka tendencyjności, która jak „deus ex machina“ zjawia się na każde zawołanie autorki, przystąpimy do bliższego zaznaczenia pojedynczych sytuacyj. Więc w czem tak stawała na drodze wujowi Damazemu ta tajemnicza postać, do której przy pierwszem zaraz widzeniu poczuł on jakiś przesądny wstręt, jakby ku demonowi swemu. Oto 1) Bohater nasz, opuszczając z żalem Paryż, pragnął znaleść samotny wagon, gdzieby mógł swobodnie dumać, aż tu wyprzedza go pewien człowiek, którego dla nieokreślonej (dla czego?) narodowości, nazwał zagranicznym. 2) Na jednej stacyi wuj Damazy miał ochotę spożyć smaczny rostbif z kartofelkami, aż oto znowu wyprzedza go „zagraniczny,“ i zdobywa ostatnią porcyją, i nasz bohater musi zadowolnić się szkaradnym kotleciskiem. 3) Stanęli obaj w jednym hotelu w Wiedniu, i „zagraniczny“ za te same pieniądze dostał daleko wygodniejszy pokoik. 4) Na jarmarku wuj Damazy chciał kupić bułanka uprzedził go w czem jednak zagraniczny. 5) „Zagraniczny“ był poprzednio kochankiem kokietki, którą bohater nasz później poślubił. Do tej sytuacyi powrócimy później jeszcze. 6) Sprzątnął wujowi Damazemu kochankę. Lecz i ta ostatnia sytuacyja, aczkolwiek najzręczniejsza na pozór, nie wynikała bynajmniej z niedołęstwa bohatera powiastki, gdyż 1) młodzi kochali się wprzód jeszcze, nim wuj Damazy poznał swoję kuzynkę, 2) wuj Damazy robił co zdołał: oświadczyć się nie mógł, gdyż był żonaty, a po śmierci żony już było zapóźno. Sądzę, że samo wykazanie tych sytuacyj jest aż nadto dostatecznem i nie potrzeba bliższych wyjaśnień, aby wykazać, że autorka minęła się zupełnie z zadaniem swojem, wpadając w mnóstwo błachostek, nie mających najmniejszego znaczenia.

Z drugiej przecież znowu strony udatnie przeprowadzony stosunek wuja Damazego ze skandaliczną hrabiną, a szczególniej charakter jego względem niej uczucia i drugie pomniejsze okoliczności, nadają głównej postaci utworu pewną barwność i psychiczną typowość. Udatnie też skreśloną jest postać hrabiny.

A propos „zagranicznego“ jeszcze słów kilka. Ma być to postać, uosabiająca w sobie wszystkie przymioty męzkie, których brak głównemu bohaterowi powiastki. Niepotrzebnie więc wychodzi on ze swojej roli w stosunku z hrabiną, stając się na równi z rywalem swoim ofiarą jej lekkomyślności, i to ofiarą prawie jednakowo nieszczęśliwą, gdyż aczkolwiek węzły hymenu z taką kobietą nie są zbyt ponętną rzeczą, to z drugiej strony i energicznego młodziana wyrwała ta kobieta, z drogi do świątyni wiedzy i przybytku prawdziwej miłości.

W końcu zaznaczyć musimy, że obok barwności i zręczności stylu, w utworze ciotki Maryni napotykamy gdzieniegdzie trudne do przebaczenia błędy, jak np. posądzono mnie o różne *kochańswa*, czułem się *zmęczony*, *myśli te* błąkały się po mej głowie, *patrząc* na fizyjonomije sukcesorów wuja Damazego; dalej różne barbaryzmy zamiast swojskich urobionych wyrazów, jak np. na *moje konto*, zamiast na mój rachunek, *egzercytować się w konnej jeździe*, zamiast wprawiać się w konną jazdę i t. p.

Aczkolwiek wykazaliśmy tyle zasadniczych usterek w rozbieranym utworze, nie możemy jednakże odmówić autorce pewnych przymiotów powieściopisarskich, które uwydatniają się tak w barwnej niekiedy charakterystyce typów, jak i w zręcznem dosyć przeprowadzeniu akcyi i kreśleniu pojedynczych obrazów. Przymiotów tych jednakże, które się zaznaczyły w kilku zaledwie ustępach, w całości autorka należycie spożytkować nie umiała.

A. Pilecki

GOSPODARSTWO
i
Przemysł domowy.

Praktyczne środki przeciw molom. Mole tak samo jak każda istota organiczna, tam się najwięcej gnieżdżą i rozmnażają, gdzie dla swego przyszłego potomstwa mogą znaleść odpowiednie wyżywienie, do czego spokojność, zwłaszcza w ciemnem miejscu, za jeden z głównych upatrują warunków. Ćma (Sphinx) zwany inaczej nocnicą, owad skrzydlaty z gatunku motyli wieczornych, jest głównym reproduktorem moli, które się wyluwają z jaj obficie znoszonych w różnych substancyjach zwierzęcych jak: pierzu, włosach, wełnie i jej wyrobach, skórach niewyprawnych, futrach i t. p. Liszki czyli gąsienice ich, będąc z natury nader żarłoczne, zrządzają ogromne szkody tak w odzieży jako i różnych sprzętach domowych.

Chcąc uniknąć tych niebezpiecznych szkodników, należy ich albo odstręczyć od domu, lub też pozbyć się zupełnie. Wszystkie w ogóle przedmioty, posiadające woń mocną, przenikliwą, odstręczają mole. Szczególniej kamfora, dystylowany olejek terpentynowy, świeże kwitnące gałązki rośliny zwanej bagno pospolite (bedum palustre), są nader skuteczne, gdyż nie tylko nie pozostawiają po sobie żadnych plam, choćby na najdelikatniejszych tkaninach kolorowych, mole zaś i liszki odstraszają, a jeśli się już wykluły — zatruwają. Najlepiej przeto bagnem poprzekładać odzież mającą być na dłuższy czas przechowaną, lub

też bibułą nasyconą olejkiem terpentynowym. Najlepszym wszakże środkiem używanym przez kuśnierzy i handlujących futrami jest częste przewietrzanie i trzepanie sukien lub mebli, zapobiegające zalężeniu się moli.

Róża smażona. Nie nadto przekwitła róża obrywa się i obrzyna z niej starannie co tylko jest białego, potem sparzyć gorącą wodą na sicie. Za nim przygotowana w ten sposób róża obsiąknie i nieco obeschnie usmarzyć należy tymczasem lekki syrop, licząc na pół-funta róży, dobry funt cukru. Potem kładzie się w ten syrop sparzoną różę i smaży się do średniej gęstości, na dosmażeniu należy wpuścić całą cytrynę.

Mleczko. Przygotować słodkie niezbierane mleko, lub też śmietankę i na każdy kubek od filiżanki dodać jedno, dwa a najwięcej trzy żółtka i umięszać dobrze z mlekiem dodając cukru w miarę proporcyi. Słodsze są lepsze, niesłodsze zaś mają smak nieco mglący. Mniejsza lub większa ilość żółtek stanowi mleczko odpowiednio ściślejszym co zależy zupełnie od gustu. Skórek cytrynowych utartych na tartce, oraz nieco wanilii można dodać do tej mieszaniny. Poczem wlewa się do filiżanek lub w jakąkolwiek formę, byle je pierwej dobrze popłukać w środku zimną wodą i nie wycierać jej, aby płyn w gotowaniu nie przypsnął, którego się wlewa nie pełno, gdyż w gotowaniu wzniesie się nad formę lub filiżanki. Poczem wstawia się w rondel z gorącą wodą, której powinno być tylko tyle aby nie sięgała wyżej jak do połowy formy lub filiżanek. Probując czy się już ugotowało, należy to czynić nożem, ażali nie oblepia się na nim, potem wyłożyć na półmisek, wystudzić dobrze i przy wydaniu polać po wierzchu ubitą śmietaną, albo szodonem, lub jakimkolwiek sokiem.

Chłodnik (Stosunek na sześć osób). Kwaśnej śmietany kwart trzy, kwasu ogórkowego pół-kwarty, jeżli śmietana gęsta kwasu mniej i przeciwnie; wcisnąć dwie cytryny. Następnie gotowane szyjki rakowe, piersi z kapłona lub kury pieczonej, albo cielęcej pieczeni pokrajanych w kostki dodać, oraz drobno pokrajanych pięć kiszonych i świeżych ogórków, ugotować kilka buraczków, wystudzić, pokrajać drobno wraz z obgotowanemi liśćmi i łodygami, oraz nieco świeżego koperku i szczypiorku, to wszystko razem zmieszać, w końcu osolić, opieprzyć i wstawić w lód do wydania. Można również dodać i parę jaj wystudzonych i ugotowanych na twardo.

Obwarzaneczki. Szklanka masła klarowanego, szklanka wody, dwie szklanki mąki, mąkę zagotować, wsypać i dobrze zaparzyć, a na gorące ciasto bić jaja, aż póki nie zacznie się ciągnąć. Zastudziwszy ręką lub szprycą, porobić obwarzaneczki, pocukrować po wierzchu i w piec wsadzić.

Konserwowanie szczawiu. Szczaw obrać czysto z wszelkich ogonów, wyłożyć na przetak, sparzyć wrzącą wodą i przelać natychmiast zimną, gdy osiąknie drobno usiekać, upakować do pełności w szklanne słoje, z wierzchu zaś zalać roztopionem łojkiem baranim.

Polędwica po angielsku. Polędwicę wyżyłować i oczyścić starannie z wszelkich błon, wypłukać w wodzie i dobrze osolić. Potem wziąwszy nieco wina, dobrego octu, wody, skórki cytrynowej, bobkowych liści, dwie cebule naszpikowane goździkami, zagotować wszystko razem i na gorąco zalać tem polędwicę, dodać nieco pieprzu i niech w tem poleży kilkanaście godzin w piwnicy lub w chłodnem miejscu. Następnie zamoczoną w ten sposób polędwicę, postawić na zarzewiu, niech się tak dusi, póki nie skruszeje, a gdy to nastąpi wziąść nieco kaparów, pół cytryny, sardelów z ości obranych, kawałek świeżej słoniny, odrobinę pietruszki zielonej i szczypioru, posiekać drobno, usmarzyć w maśle i włożyć do mięsa, wlać kwaterkę śmietany, kawałek masła, odrobinę pieprzu, niech się z tem poddusi. Wydając na stół należy zebrać tłustość z wierzchu a półmisek talarkami cytryny przyozdobić.

Sos ze śledzia do sztuki mięsa. Małą cebulkę usiekać i zmacerować w maśle, dodać mniejsze pół łyżki mąki, wlać pół kubka rosołu, łyżkę octu, parę kawałków cukru i zagotować; poczem włożyć pół śledzia wymoczonego i usiekanego, wymieszać i wydać.

Konserwowanie niektórych pokarmów. Mięso marynowane powinno być przechowywane w naczyniach fajansowych lub glinianych, nigdy zaś w polewanych. Wszelkie marynaty w occie moczone, najwłaściwiej konserwować jeśli nie w szklannych to fajansowych naczyniach, nigdy zaś w metalowych, szczególniej zaś unikać należy miedzianych lub blaszanych jako nader zdrowiu szkodliwych. Chcąc przechowywać ptastwo domowe lub wszelką zwierzynę, należy je przedewszystkiem wypaproszyć, wyjąć oczy i gardziel, obsypać zewnątrz i wewnątrz miałkim węglem drzewnym, i pozatykać bibułą wszelkie otwory. Ryby skropić mocnem winem dodawszy doń czwartą część octu i ułożyć w chłodnem miejscu na liściach brzoskwiniowych, niepoórwnanie to lepiej niż nasalać.

Nazimne *(galareta)*. Wygotowuje się szlam z czterech cielęcych nóżek. Pół kwarty słodkiej śmietanki gotuje się z cukrem ciągle mięszając dopóki połowa nie wyparuje, a gdy ją się wychłodzi dolewa się po trochu pół kwarty kwaśnej śmietany bijąc bezustannie trzepaczką, aby się mleczywo nie zbiegło. Podobnież dodaje się i szlam wyklarowany z nóżek cielęcych, a gdy zgęstnieje można go podzielić na kilka części. Z tych jedną umieszać z czekoladą lub odwarem czarnej mocnej kawy, drugą zostawić naturalną lub umieszać z alkiermesem i układać w formie warstwami, jak zastygnie na lodzie, wyłożyć i ubrać na wierzchu konfiturami.

Leguminka z pomarańczy. Ugotować pomarańczę aby była tak miękką, by słomka przeszła przez nią, przekroić i oczyścić z wszelkich pestek, jako mających w sobie przykrą gorycz. Dodać kubek ogrubnego cukru i utrzeć w donicy, dodając pięć żółtek od jaj, dwie czubate łyżki tarkowanej bułki, białka pozostałe od żółtek ubić na pianę, wszystko rozcierając w donicy, jak najstaranniej umieszać, włożyć w formę i na parze ugotować.

Tak samo robi się i z cytryny dodając jednakże więcej cukru dla zobojętnienia zbytecznego kwasu cytrynowego.

Potrawa z kaczek. Dziesięć cebul pokrajać w talerzyki i smarzyć w maśle na wolnym ogniu. Zarumienić kawałek masła, dodać łyżkę mąki, małą szklankę octu, bulijonu lub rosołu, gotować na wolnym ogniu, szumując dopóki nie nabierze pożądanej zawiesistości. Potem upieczoną kaczkę potranszować, polać tym sosem dodawszy nieco kaparków lub pokrajanych korniszonów, a chcąc na stole swojską zarekomendować jako dziką, nie należy jej zarzynać lecz szpagatem zadusić, aby krew pozostała niespuszczona w mięsie.

Biszkopciki. Do dwunastu żółtek od jaj przymieszaj łyżkę dobrego wina, do tego syp cukier, bijąc po trochu, dodaj pół funta przedniej mąki pszennej, wyłóż tę masę na papier, rób biszkopty, posyp cukrem i piecz w wolnym piecu.

Konserwowanie ryb w lecie. Utrzeć skórkę chleba napojoną mocnym spirytusem i tą papką napełnić pysk i skrzele ryb; — następnie zapakować je w świeże pokrzywy i obwinąć w słomę najlepiej jęczmienną.

Podobnież i raki w świeżych pokrzywach upakowane w słomie, można przez parę dni, żywe przechować.

Lep na muchy. Sześć części kalafonii — terpentyny gęstej dwie części — lnianego oleju dwie części — oleju rzepakowego jedna część; — miodu prasnego pół części — zmieszać razem i stopić. Kiedy płyn ostygnie, smaruje się pędzelkiem tym płynem rózgi, a osadziwszy je w jakich naczyniach rozstawia się po szafach lub innych sprzętach.

Szczupak po węgiersku. Szczupaka oprawić, pokrajać w dzwona i nasolić. Gdy już nasłonieje, ułożyć w rondlu, przekładając włoszczyzną i cebulą, dodać sporą łyżkę masła, pół kwarty wina i odpowiednią ilość tarkowanej bułki. Rondel nakryć pokrywą i gotować przez pół godziny na wolnym ogniu. Można dodać nieco pieprzu tłuczonego.

Sztufada. Pieczeń wołową dobrze wyszlagować a następnie naszpikować świeżą słoniną utarzaną w korzeniach. Na spodzie w rondlu podłożyć świeżej słoninki pokrajanej w cienkie plasterki, dodać cebuli, marchwi, buraczków, selerów, porów, nakryć pokrywą, wstawić na wolny ogień niech się dusi przez godzinę; — potem obsypać pieczeń mąką, aby się obrumieniło, podlać ukropem, dodać winnego octu z parę łyżek, pieprzu, angielskich ziarek, bobkowych liści, i zagotować do miękości. Przed wydaniem na stół sos przecedzić, wlać wina szklankę, cytrynę pokrajać w talarki, cukru włożyć kilka kawałków, przegotować, mięso pokrajać, polać na półmisku tym sosem i wydać.

Trucizna na szczury. Łut proszku morskiej cebuli (Radix Seillae) zmieszany z czterema łutami sera, jajecznicą, lub innym pokarmem, stawia się w miejscu uczęszczanym

przez szczuru. Zalecają również roślinę *psi język* (Cynoglossum officinale) skuteczną ona jest jednakże zbierana jedynie w miesiącu maju. Rośnie dziko po mokradłach, mianowicie mokrych rowach.

ROZMAITOŚCI.

Z Pleszowa donoszą co następuje: Przed kilkoma dniami przybył tu lokalny inspektor szkolny pastor Strecker do tamtejszej szkoły protestanckiej a wywoławszy jednego z uczniów, zarzucił mu, że ukradł obrączkę ślubną, wzywając go zarazem, aby się do kradzieży przyznał. Kiedy chłopiec przyznać się nie chciał, kazał pastor nauczycielowi chłopca cieleśnie ukarać. Nauczyciel posłuszny rozkazowi, dał chłopcu w krótkich przestankach 80 plag kijem. Po takiem skatowaniu przyznał się chłopiec, że ukradł obrączkę. Na to wyliczył mu jeszcze inspektor 10 plag własną swoją laską, poczem go kazał zamknąć do dawniejszego aresztu wojskowego, gdzie o głodzie przesiedział od 11 godziny przed południem do 6 godziny wieczorem. Po wypuszczeniu z aresztu, zaprowadzono chłopca do lekarza, który mu wystawił pismo, poświadczające skatowanie, a następnie oskarżono tak pastora, jak nauczyciela przed prokuratorem, na podstawie §§ 340, 359, 343, 339 i 239 prawa karnego. Zawiadomiono o całem tem zajściu także ministra oświecenia. Zresztą wkrótce jeszcze i obrączka znalazła się; chłopiec więc ten niewinnie był skatowany.

* * *

Gmach „Opery“ paryzkiej, po zupełnem ukończeniu kosztować będzie 50 milionów franków. Grunta pod budowlę zajęte cenione są 10 milionów, na budowę wydano dotąd 36 milionów, a na ostateczne jej wykończenie zażądał w ostatnich czasach minister robót publicznych od zgromadzenia narodowego kredytu 3 mil. franków.

* * *

„Nowoje Wremia“ donosi o pogłosce, że władze pocztowe pracują nad kwestyą otworzenia i przyjmowania prenumeraty na pisma peryodyczne we wszystkich biurach pocztowych odbierających i wydających korespondencye.

* * *

Obecnie we Francyi ludzie uczeni wielce zajęci są propagowaniem rośliny, mogącej zastąpić kartofle, która nosi naukową nazwę *Lathyrus tuberosus*, groszek bulwowy, a ponieważ łatwo daje się uprawiać, więc na północy Francyi, znaczne przestrzenie gruntu są już nim zasadzone. Francuzi zowią go z powodu formy *myszą ziemną*, a z powodu smaku *kasztanem ziemnym*. Na niektórych targach we Francyi sprzedają już te bulwy, dochodzące niekiedy wielkości kartofli. W końcu nadmienić wypada, że i korzeń rzeczonej rośliny również jeść można.

* * *

Stan zdrowia namiestnika Galicyi hr. Gołuchowskiego w ostatnich dniach cokolwiek się poprawił, w każdym razie jednak hrabia dłużej na urzędzie nie pozostanie. Jako następców hr. Gołuchowskiego na urzędzie namiestnika Galicyi, wymieniają już dziś hr. Alfreda Potockiego, p. Possingera, który już był zastępcą namiestnika, a w końcu co najważniejsza, brata cesarskiego arcyksięcia Karola Ludwika, protektora krakowskiej akademii umiejętności.

* * *

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne wyznaczyło rubli srebrem 300 na tegoroczne wydawnictwo kompozycyi muzycznych krajowych. Specyjalne ogłoszenia komitetu tego towarzystwa podają warunki tego współubiegania się o pierwszeństwo.

* * *

Sprawozdanie Kasy zabezpieczenia rzemieślników i robotników w warsztatach mechanicznych Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, wskazuje następujace ważniejsze cyfry: Kasa liczyła uczestników — mężczyzn 1,151, kobiet 702, dzieci 1309. Ubyło osób 320, pozostało więc 3,162. W ambulatoryjum udzielono porady lekarskiej 6,753 osobom; w mieszkaniach prywatnych leczyło się 2,555 osób, razem 9,308 chorych. Apteki wydały środków leczniczych na 15,308 recept. Biletów do kąpieli użyto 3,160 sztuk. W szpitalach leczyło się 89 chorych. Dla 115 osób zmarłych w ciągu roku wypłacono koszta pogrzebowe. Dochód wynosił rs. 129,983; rozchód rs. 52,892. Z końcem więc roku 1874 majątek kasy, wraz z sumą wypożyczoną uczestnikom i w Kasie pomocniczej znajdującą się, wynosi rs. 37,337 i kop. 12. Rozchód wskazuje, iż na leczenie chorych towarzyszów w szpitalach wydano sumę rs. 539; pogrzeby kosztowały rs. 1,175, a na wsparcia podczas choroby wyłożono rs. 5,145, wreszcie wypożyczono rubli sr. 10,828.

* * *

W Wielkiem Księztwie Poznańskiem istnieje obecnie 13 gimnazyjów, przy których jest zatrudnionych 143 dyrektorów, nauczycieli wyższych i zwyczajnych, 2 do 3 nauczycieli pomocniczych, 14 nauczycieli technicznych i 19 duchownych, udzielających nauki religii, jakoteż 16 nauczycieli przy połączonych z niemi szkołach przygotowawczych. Do zakładów tych uczęszczało w końcu minionego roku szkolnego 3,755, do szkół przygotowawczych 376 uczniów. Prócz tego istnieją w Księztwie dwa progimnazyja i 4 szkoły realne, przy których urzęduje 53 dyrektorów, nauczycieli wyższych i zwyczajnych, 4 nauczycieli pomocniczych, 8 nauczycieli technicznych, 8 duchownych dla nauki religii i 9 nauczycieli przy szkołach przygotowawczych. Do szkół realnych uczęszczało 1476, do szkół przygotowawczych 366 uczniów.

Od Redakcyi.

Przypominamy raz jeszcze, iż w bieżącym kwartale III r. b. „Opiekun Domowy“ wychodzić będzie pod tą samą Redakcyją i na tych samych co dotychczas warunkach.

Tych samych co dotąd trzymając się zasad, pragniemy służyć wytrwale sprawom rodziny, jako ogniska, z którego społeczeństwo czerpie swe zdrowie i potęgę swoję — nie zaniedbując zarazem kwestyj literackich, naukowych i artystycznych.

Wzrastająca liczba prenumeratorów utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza stać się może pożyteczną, i że liczne bardzo ulepszenia, jakie z d. 1 Lipca r. b. przeprowadzić zamierzamy, zyskają jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym służyć chcemy rozważnie i wytrwale.

Przedpłata Opiekuna Domowego wynosi

w Warszawie rocznie Rs. 6.
półrocznie „ 3.
kwartalnie „ 1 kop. 50.
miesięcznie „ — „ 50.

na prowincyi łącznie z przesyłką pocztową
rocznie Rs. 8.
półrocznie „ 4.
kwartalnie „ 2.

Dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pisma, upraszamy o rychłe wnoszenie prenumeraty.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Іюня (1 Іюля) 1875 г.— W drukarni K. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.